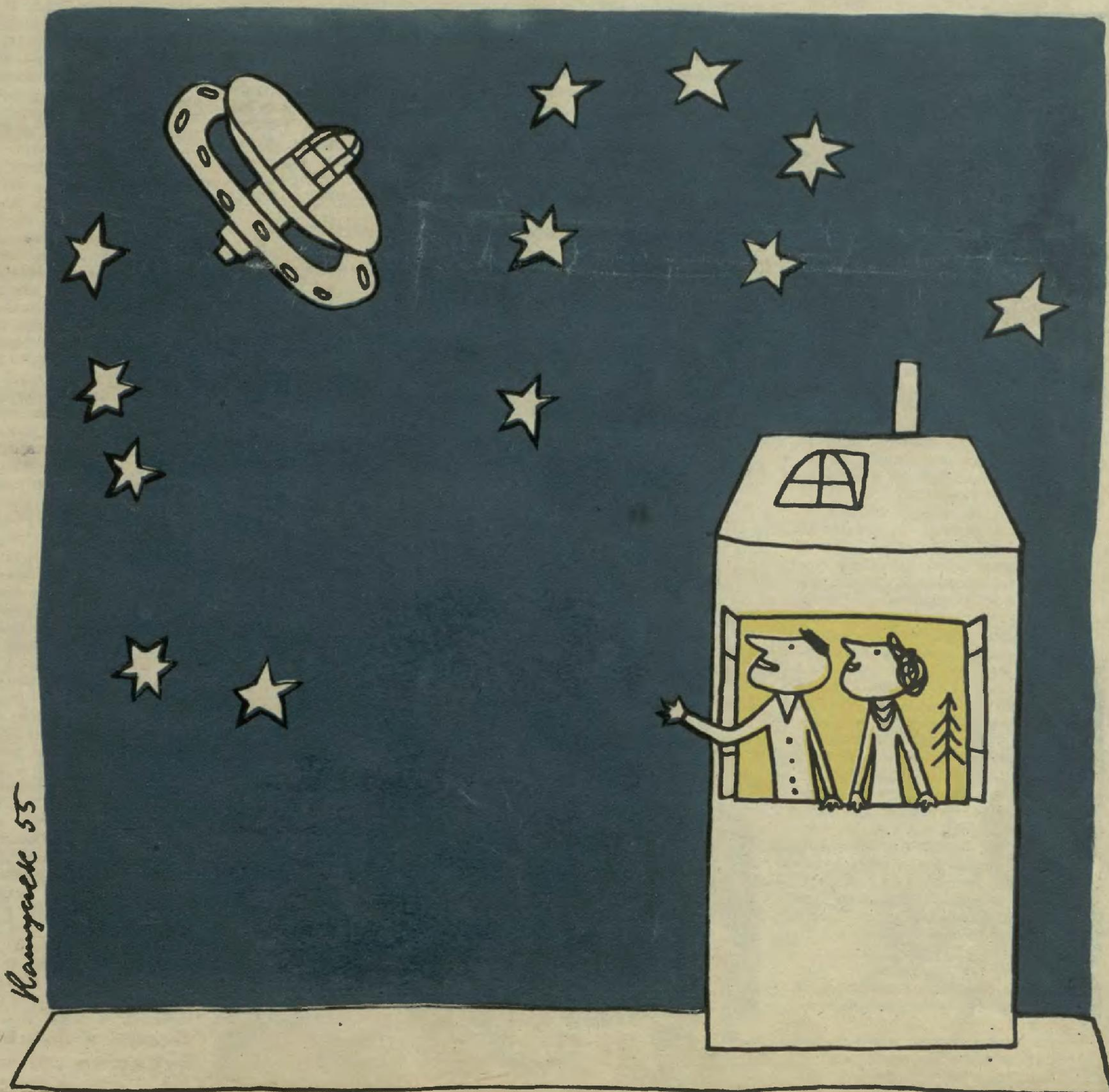
PRZEKRÓJ

CENA 1.80 ZŁ

NUMER ŚWIĄTECZNY 558-559 * 24 GRUDNIA 1955 ROKU

DZIŚ W NUMERZE PISZĄ: VIRENDRA KUMAR — JULIUSZ I LUCJAN KYDRYŃSCY — ADAM WŁODEK — ANDRZEJ KLOMINEK — IRENA KRZYWICKA — ANDRZEJ PRONASZKO — OLGIERD BUDREWICZ — ST. WROTNY — MARIA ZIENTAROWA — BRACIA ROJEK — J. L. BORGES — L. J. KERN — RYSUJĄ: ANTONI UNIECHOWSKI — JAN KAMYCZEK — DANIEL MRÓZ — JERZY SKARŻYŃSKI — ZBIGNIEW LENGREN — ERYK LIPIŃSKI — LICZNE KONKURSY Z NAGRODAMI: 4 RADIOAPARATY, 2 ZEGARKI, 2 ADAPTERY, ROWER



ŚWIĘTA PRZYSZŁOŚCI: — Możemy już zapalić choinkę, zabłysnął pierwszy sztuczny księżyc!

rys. Jan Kamyczek 1955

NA OKŁADCE

tego numeru zobaczyć możecie żartobliwą f a n t a z j ę z przyszłości. Przyszłość to już niedaleka, gdyż pierwszy sztuczny księżyc — choć jeszcze nie tak duży i skomplikowany jak go przedstawił Jan Kamyczek — zacznie okrążać ziemię już za rok—dwa. Wewnątrz tego numeru znajdziecie zaś reportaż, z którego wynika, że w światowej rocznej produkcji tworzyw sztucznych (wszelkiego rodzaju „plastyków" i „nylonów") wynoszącej 2 miliony ton — udział Polski wynosi na razie tylko 7000 ton. A poziom tej produkcji jest obecnie jednym z wskaźników zaawansowania technicznego danego państwa. Nasz przemysł chemiczny jeszcze wystarczająco nie zaawansował.

A więc: oszałamiające perspektywy przyszłości — i skromna teraźniejszość, skromna bo obciążona całym dziedzictwem przeszłości, całym smutnym spadkiem ruin i zacofania. Na którym też kilometrze pomiędzy smętnym wąskotorowym samowarkiem wlokącym się noga za nogą, a rakietą pędzącą na księżyc, znajduje się nasza teraźniejszość?

Ten dystans można mierzyć dwojaką miarą. A l b o można odmierzać kilometry już przebyte, porównywać to co już jest, z tym co było i tym co byłoby, gdybyśmy od lat 11 gwałtownie nie przyśpieszyli kroku. A l b o można mierzyć kilometry dzielące nas jeszcze od tego, co chcielibyśmy mieć i co mają już często inni.

Długo, aż nazbyt długo używaliśmy niemal wyłącznie tej pierwszej miary. Nie tylko w ocenianiu naszej teraźniejszości techniczno-gospodarczej. Także oceniając teraźniejszość społeczną, moralną, kulturalną, używaliśmy takich kryteriów, przy zastosowaniu których wszystko było cudowne i wspaniałe. Te kryteria nie są zresztą nieprawdziwe. Przecież na prawdę stoi znów odbudowana, piękniejsza Warszawa, naprawdę stoi Nowa Huta i setki nowych wielkich fabryk, naprawdę awansowały społecznie i zawodowo tysiące i tysiące ludzi, naprawdę młodzież ma lepsze niż kiedykolwiek możliwości nauki i naprawdę pełniej niż kiedykolwiek w historii Polski są rozbudzane i zaspokajane kulturalne potrzeby milionów. To wszystko prawda i to rzeczywiście jest wspaniałe.

Ale nie mniej prawdziwe są inne fakty: że nasze budownictwo i nasza gospodarka nie zaspokaja wciąż wielu nawet bardzo podstawowych potrzeb, że wśród ludzi wiele jest nieuczciwości, że pijaństwo, chuligaństwo, że tu bzdura, tam kłamstwo, gdzie indziej znów jaskrawa nieudolność. I że to wszystko jest ciężką kulą u nogi, hamuje nas, trzyma w miejscu.

No, więc to wszystko prawda. Ale przez to, że bardzo długo przywykliśmy stosować niemal wyłącznie to pierwsze optymistyczne kryterium („było gorzej i byłoby gorzej gdyby nie...") teraz każde odkrycie prawdy o sprawach smutnych i bolesnych — przypomina trochę odkrycie owego dziecka z bajki Andersena o nagim królu. Niewinnych dzieciąt wołających wielkim głosem, że król nie ma kamizelki, że nosi staroświecką cebulę z dewizką zamiast nowoczesnej „Omegi", że przechodzi cięższe i lżejsze choroby — namnożyło się jak grzybów po deszczu. Weszło w modę stosowanie tej drugiej miary, pesymistycznej.

Jak wiadomo, mądry król z bajki Andersena odepchnął pochlebców a nagrodził dziecko, które powiedziało niemiłą prawdę. Pięknie. Prawda w sensie faktów jest jedna i faktom trzeba patrzeć zawsze prosto w oczy, niezależnie od tego, czy są miłe czy niemiłe. Sprawa komplikuje się jednak, gdy zacznie się oceniać całe z e s p o ł y bezsprzecznie prawdziwych faktów. A więc odbudowana Warszawa — i odpadające klamki oraz niegrzejące kaloryfery! A więc 4,5 miliona ton stali rocznie — i fatalne żyletki. A więc setki tysięcy studiującej i uczącej się młodzieży — i pijaństwo, chuligaństwo, brak kultury. A więc wspaniałe teoretyczne założenia władzy ludowej — i jakże często fatalna biurokratyczna praktyka aparatu administracyjnego czy gospodarczego. Jaka jest w tym z e s p o l e faktów miłych i niemiłych, prawda o punkcie, do którego doszliśmy po 11 latach budowania podstaw socjalizmu?

Tylko zastosowanie obu miar, obu kryteriów wskaże punkt na drodze gdzieś pomiędzy lokomotywą - samowarkiem a międzyplanetarną rakietą, ten punkt, w którym n a p r a w d ę jesteśmy. Wskaże go dokładnie tylko wtedy, jeśli przy tym jasno zdamy sobie sprawę z tego, jaki to jest p u n k t w y j ś c i a, jakie możliwości dalszego rozwoju stworzyło nam to, co już jest. Wróćmy do konkretnego przykładu: 7.000 ton tworzyw sztucznych rocznie przy światowej produkcji 2 miliony ton — to jest bardzo mało. Ale jeśli się weźmie pod uwagę, że już stworzone zostały u nas dosłownie z niczego podstawy wielkiego przemysłu syntezy chemicznej, wówczas te bardzo skromne początki przedstawią się w innym, jaśniejszym świetle.

To był przykład z dziedziny gospodarczej, ale można i trzeba podobnie patrzeć także na inne dziedziny życia. Patrzeć w oczy faktom takim, jakimi one są — ale też nie tracić z oczu nigdy perspektyw, które stwarza zdobyty już punkt wyjścia.

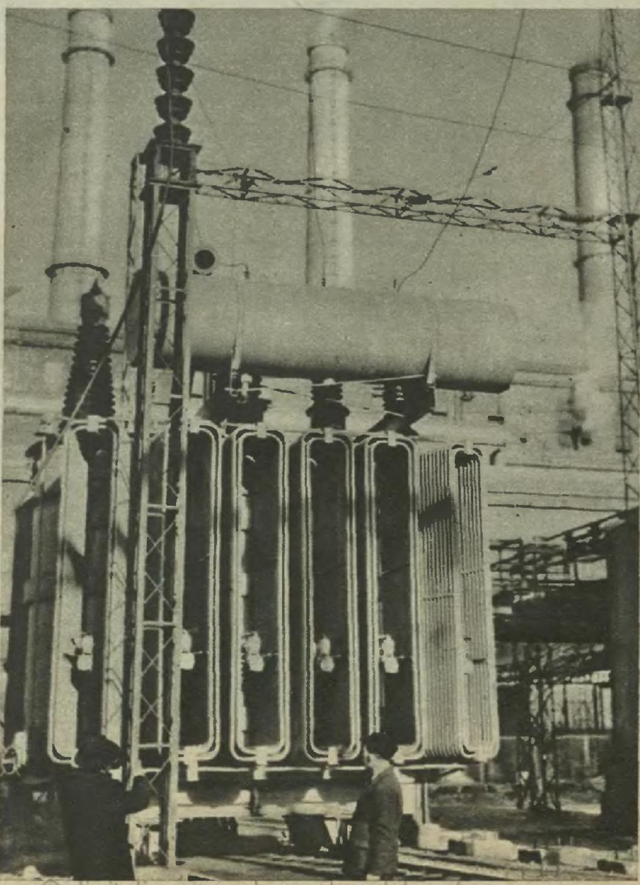
Dobrze to mówić: perspektywy. Ale co robić, aby je jasno wszystkim ukazać, aby najmocniej zaangażować miliony w świadomą pracę nad ich przybliżeniem? Same słowa, przekonywania, nawoływania — nie wystarczą. Dziennikarz wie to najlepiej... Ale dziennikarz piszący u schyłku 1955 roku świąteczny artykuł, pragnie zwrócić uwagę na pewne charakterystyczne i ważne pozycje w tegorocznym tradycyjnym obrachunku. Mowa tu przede wszystkim o ostatniej uchwale KC Partii, postanawiającej, że plan 5-letni będzie opracowywany przy szerokim udziale s a m y c h z a ł ó g zakładów pracy. Coraz więcej miejsca dla o d d o l n e j inicjatywy dojrzewających obywatelsko mas, coraz większy i doskonalszy rozwój form demokratycznych w naszym życiu — oto jest kierunek, jaki wskazuje ta uchwała. Ten kierunek, który zwykło się — upraszczając — podciągać pod ogólne pojęcie „po III Plenum". I na tej linii kierunkowej widać najlepiej perspektywę naszej przyszłości.

No, a poza tym nie trzeba chyba powtarzać, że założeniem naszej przyszłości jest p o k ó j. Tyle razy się używało tego słowa, ale powtarzać trzeba ciągle: Pokój jest sprawą zasadniczą, a walka o jego utrzymanie sprawą p i e r w s z ą. I właśnie perspektywy pokoju wyglądają w tej chwili dobrze, lepiej niż przed rokiem, dwoma i pięcioma laty.

To nie znaczy oczywiście, że wszystko w polityce międzynarodowej toczy się gładko. Przeciwnie, niedawna konferencja czterech ministrów w Genewie świadczy, jak wiele przeszkód i oporów nagromadziło się na drodze do rozwiązania problemów międzynarodowych. Ale nawet tam, gdzie istnieją wciąż niezałatwione sprawy ważne i niebezpieczne tam, gdzie ciągle daje znać o sobie zbankrutowana polityka siły i szantażu wojennego — widać jasno: tamta polityka zbankrutowała, a myśl o wojnie jako środku załatwiania problemów międzynarodowych w każdym zdrowym umyśle została sprowadzona do absurdu. To także stwarza dobry punkt wyjścia na przyszłość.

Artykuł świąteczny jednak, choćby najbardziej wplątany w „perspektywy", „punkty wyjścia" i „kierunki", musi mówić także koniecznie i o choince. Zresztą Jan Kamyczek na okładce tego numeru jasno nas przekonuje, że choinka będzie i pod sztucznym księżycem. Będzie ona chyba i na samym sztucznym księżycu (tyle że może będzie z plastyku?), gdyż domowe ciepło, nastrój pogody i zadowolenia, słowem to co się kojarzy zwykle ze słowem „choinka" — jest i będzie zawsze człowiekowi **bardzo potrzebne. Chcielibyśmy, aby Czytelnik tego artykułu doszedł do przekonania, że wszystkie owe suche „perspektywy", „punkty wyjścia" i „kierunki" wcale nie pozostają w jakiejś sprzeczności z „choinką". Przeciwnie, one właśnie prowadzą do tego, by w ostatecznym rezultacie w naszym życiu było jak najwięcej ciepła, spokoju, pogody, zadowolenia. I tego jak najserdeczniej w dniach Świąt życzy swym wszystkim Czytelnikom „PRZEKRÓJ".**

ZAKOŃCZYŁA SIĘ BUDOWA SIŁOWNI JAWORZNO II — NAJWIĘKSZEJ INWESTYCJI ENERGETYCZNEJ PLANU 6-LETNIEGO. WYKONANIE TEGO PLANU STWORZYŁO MOCNE PODSTAWY POD DALSZY ROZWÓJ NASZEGO KRAJU



Tekst: Andrzej Klominek — zdjęcie: CAF (Tymiński)



Ambasador Mienszikow, Bułganin, Nehru, Chruszczow



Z córką Nehru, Indirą i wiceprezydentem dr Radhakrishnan

VIRENDRA KUMAR

KORESPONDENCJA WŁASNA „PRZEKROJU" z New Delhi

18 listopada.

POGODA była wyjątkowo piękna. Ludzie w odświętnym nastroju. Ponad 40 000 najrozmaitszych pojazdów — samochodów, wozów, furgonów zaprzężonych w woły, bryczek, wielbłądów, tysiące rowerów, nawet słonie — wszystko to zgromadziło się w Delhi, przywożąc z najdalszych okolic ludzi, żądnych widoku gości. Więcej niż milion osób — mężczyzn, kobiet i dzieci — zgromadziło się wzdłuż długiej na 12 mil drogi z portu lotniczego Palam do siedziby prezydenta. Całą trasę przejazdu przybrano festonami, chorągwiami, flagami i długimi pasami kolorowego płótna. W różnych miejscach wzniesiono ogromne łuki, drapowane w kosztowny jedwab, złotogłów i ozdobione dywanami o kolorach tęczy. Orgię barw potęgowały baloniki i wstążki wplecione w sznury proporców, festonów i flag. Drużyny ochotników, noszących na ramieniu opaski z nadrukowanymi wizerunkami marszałka Bułganina i premiera Nehru ściskających sobie ręce, krążyły wszędzie, troszcząc się o porządek.

Punktualnie o 14.30 zahuczał nad lotniskiem „Iliuszyn 14" z czerwoną gwiazdą wymalowaną na kadłubie i na skrzydłach. Eskortowało go sześć odrzutowców Sił Powietrznych Indii. Wszyscy zadarli głowy. Po chwili samolot stał już na betonowym torze. Do drzwiczek przysunięto schodki. Tłum naokoło zafalował. A drzwiczki samolotu odskoczyły. Zasłaniając oczy przed słońcem, ujrzeliśmy marszałka Bułganina w lekkim, niebieskim ubraniu, z włosami zaczesanymi do góry. Powiewając trzymanym w ręce słomkowym kapeluszem, wynurzył się z wnętrza i zszedł po schodkach. Tuż za nim postępował Chruszczow i inni.

Rozległy się okrzyki: „Bułganin, Chruszczow Zindabad!" i „Niech żyje przyjaźń ludu hinduskiego i radzieckiego!".

Goście zamienili uścisk dłoni z wiceprezydentem, drem Radhakrishnan, premierem Jawaharlal Nehru i innymi. Ludzie naokoło tłoczyli się i potrącali, aby móc lepiej widzieć. Teraz odbyło się powitanie oficjalne, hymny, przegląd gwardii honorowej. Wreszcie ujrzeliśmy znów Bułganina, idącego przodem wraz z drem Radhakrishnan, a za nim Chruszczowa ramię w ramię z Nehru, silnie klaszczących w dłonie. Wyszli na podium, aby przemówić do ludzi na lotnisku.

Gdy otwarty samochód, w którym Nehru siedział pomiędzy Bułganinem i Chruszczowem, wyruszył z lotniska, dziewczęta szkolne, znajdujące się na balkonie bramy triumfalnej, zasypały gości płatkami kwiatów.

I to był sygnał rozpoczęcia triumfalnej drogi, jaką ogląda się tylko raz w życiu. Wśród miliona dwustu tysięcy osób, które zgromadziły się na lotnisku i wzdłuż całej trasy przejazdu, byli ludzie z wszystkich warstw społecznych. Gdy mijał ich samochód wiozący gości, wszyscy wiwatowali, krzyczeli z radości, rzucali kwiaty i powiewali papierowymi chorągiewkami o barwach obu krajów. Connaught Place, wytworne centrum handlowe New Delhi, było dosłownie zasłane dywanem z kwiatów. Sławetni wirtuozi „Shahnai" (hinduski instrument dęty, na którym grywa się tylko w specjalnie radosnych okolicznościach) przybyli na tę uroczystość z Benares i Lucknow i zwracali uwagę swymi turbanami ze złotych koronek i długimi, brokatowymi surdutami. Ludzie wypuszczali baloniki z flagami Indii i ZSRR.

Miliony i miliony ludzi, którzy nie mogli przybyć do Delhi, aby powitać dostojnych gości z legendarnego kraju Rewolucji, z kraju Lenina i Stalina, Tołstoja, Czechowa, Gorkiego i Majakowskiego — te miliony słuchały komentarzy o wielkim wydarzeniu, nadawanych przez Radio Wszechindyjskie...

Zapadła noc. New Delhi zamieniło się w krainę baśni. Drzewa na Connaught Place obwieszone były różnokolorowymi światłami. Tak samo iluminowano mnóstwo innych miejsc.

19 listopada.

BYŁ TO pracowity dzień dla radzieckich przywódców. Wczesnym rankiem złożyli wieńce w mauzoleum Mahatmy Gandhiego w Raj Ghat, będącym świętością narodową.

Następnie udali się na zwiedzenie historycznych zabytków. Żywo interesowali się wszystkim i zadawali wiele pytań. Gdzie tylko się zjawiali, ludność witała ich z nigdy przedtem niespotykanym entuzjazmem. Tysiące ludzi czekało wzdłuż dróg, którymi mieli przejeżdżać. Potem przywódcy radzieccy zjedli lunch u premiera i wraz z nim spędzili popołudnie w Ogrodach Mongolskich przy pałacu prezydenta.

Wieczorem ponad pół miliona ludzi zgromadziło się w Ramlilal, aby wziąć udział w pamiętnym spotkaniu obywateli z przywódcami radzieckimi. Cały teren udekorowany był wielobarwnymi lampionami i setkami ogromnych flag Indii i ZSRR. Wesoło falujący tłum pozdrowił trzepotem chorągiewek dostojnych gości, którzy w towarzystwie premiera Indii weszli na mównicę, zbudowaną na wzór historycznej kazalnicy w świątyni Buddy w Sarnath. Czerwony latawiec z godłami Indii i ZSRR, wypuszczony przez dzieci z pobliskiej szkoły, opadał tuż przy mównicy, wywołując wielką wesołość. Przywódcy radzieccy przesłali dzieciom pozdrowienia. Nad ogromnym tłumem wzniósł się okrzyk radości.

Burmistrz Delhi ustroił radzieckich mężów stanu w girlandy z kwiatów i w imieniu obywateli ofiarował im kolaskę z kości słoniowej i takiż ekran — na pamiątkę ich pobytu w mieście. Potem nastąpiły przemówienia, których treść znacie na pewno z gazet.

Światła z krainy baśni rozświetlały ciemność, a ich odblask unosił się nad Delhi tej nocy, znaczącej nadejście nowej ery.

Delhi, będące od niepamiętnych czasów stolicą Indii, widywało już w ciągu swych dziejów różne osobistości, ale wszystkie one przybywały po to, by ujarzmić ludność, wyzyskać ją i narzucić jej swoją własną kulturę i sposób życia. I tak — Delhi 17 razy było budowane, burzone i odbudowywane na nowo. Ludność miasta nigdy nie powstawała by powitać swych ujarzmicieli.

Ale tym razem Delhi zgotowało swym gościom wspaniałe przyjęcie. Gdyż goście ci byli posłańcami pokoju i dobrej woli, przybywającymi ze sławnego kraju potężnego narodu.

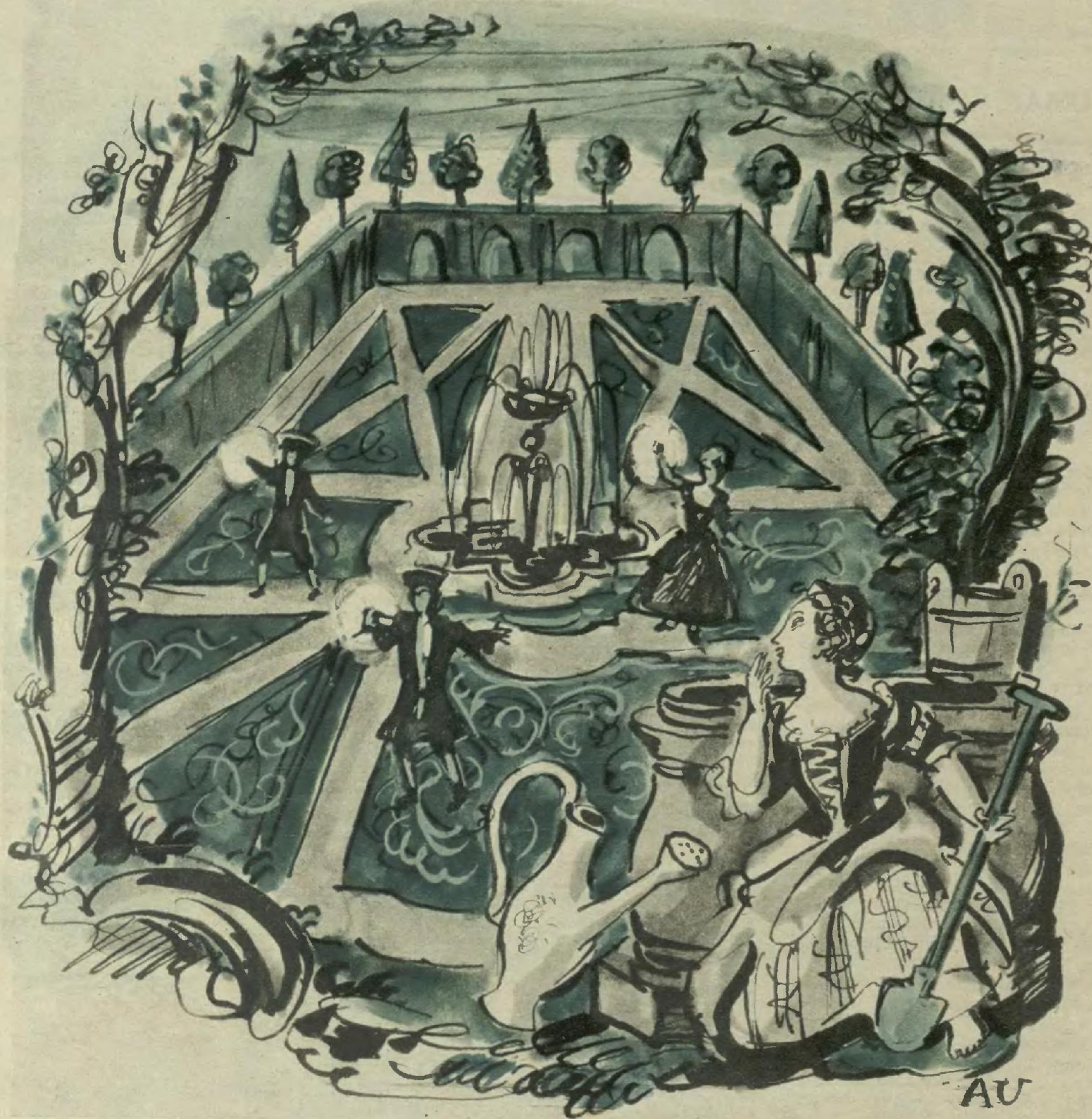
Tekst i zdjęcia
VIRENDRA KUMAR
Przełożył Juliusz Kydryński



Z łuków triumfalnych na których stały dzieci szkolne, deszcz płatków kwiatów spadał na samochód wiozący przez ulice Delhi Bułganina, Chruszczowa i Nehru

6 OPER MOZARTA

RYSUNKI ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO • TEKST LUCJAN KYDRYŃSKI



OGRODNICZKA z MIŁOŚCI

Do tekstu OGRODNICZKI skomponował najpierw muzykę Pasquale Anfossi i premiera opery odbyła w 1774 r. w Rzymie. Tu zainteresował się nią 18-letni Mozart, podłożył pod to samo libretto nową, własną muzykę i już w następnym roku mozartowską OGRODNICZKĘ wystawiła Opera w Monachium. Niestety — nie zachowało się do dzisiaj ani oryginalne libretto, ani recitatiwy z I aktu. Jednak dzięki odpisom tekstu oraz uzupełnieniu partytury mozartowskiej recitatiwami ze starej, zapomnianej już dziś opery Anfossiego, OGRODNICZKA Z MIŁOŚCI bawi dziś publiczność jako wcale niezła opera buffo.

MIEJSCE: WŁOCHY. Czas: rokoko. Hrabia Belfiore sądzi, iż zabił z zazdrości swą ukochaną, hrabinę Violettę. Tymczasem — wcale nie. Violetta, pod przybranym imieniem Sandriny pracuje jako ogrodniczka u Don Anchisa, kochając zresztą nadal nieobliczalnego hrabiego. I oto pewnego dnia Belfiore zjawia się w domu Anchisa, lecz — jako narzeczony jego siostrzenicy Armidy. Dalsze powikłania nietrudno odgadnąć. Każdy kocha się nie w tym, w kim powinien, lecz wszystko kończy się dobrze. Hrabia rozpoznaje Violettę, w towarzystwie wszystkich domowników szuka jej w pałacowym parku (na rysunku), dochodzi do porozumienia i trzy pary stają przed kurtyną gotowe do wzięcia ślubu: Violetta i Belfiore, Armida i jej zalotnik Ramiro oraz dwoje miłych służących: Serpetta i Nordo. Don Anchise ociera wilgotne oczy, wzruszony miłosnymi przejściami pięknej ogrodniczki z miłości...

OJCIEC JEGO początkowo studiował w Salzburgu teologię, później dopiero dociekł, iż właściwym jego powołaniem są skrzypce i kompozycja. Został skrzypkiem, ożenił się, a dawny okres studiów przypominał sobie od czasu do czasu, komponując nieco muzyki kościelnej... Małżeństwo z Marią Anną Perth dało Leopoldowi m. in. sześcioro dzieci. Tu jednak zajmiemy się tylko jednym: Wolfgangiem Amadeuszem, który lat temu dwieście ujrzał nad sobą błękitne niebo Salzburga. Było to 27 stycznia 1756 roku.

Zazwyczaj pisząc o muzykach, szybko przebiega się myślą nieciekawy najczęściej okres przedszkolny. Tu czynić tak niepodobna: ojciec Leopold zaczyna bowiem uczyć syna muzyki już w wieku lat trzech, a w dwa lata później 5-letni Wolfgang gra już (i komponuje!) drobne utwo-

UPROWADZENIE Z SERAJU



Gdy w 1781 roku jedna z berlińskich trup aktorskich wystawiła operetkę Bretznera BELMONTE I KONSTANCJA z muzyką Johanna André, aktor wiedeńskiego Teatru Narodowego Göttlob Stephan, zwrócił Mozartowi uwagę, iż jej turecki temat możnaby lepiej wyzyskać. Wzięli się razem do koniecznych przeróbek tekstu. Mozart zaczął komponować i za kilka miesięcy UPROWADZENIE Z SERAJU było gotowe. Wystawiono je, po różnych kłopotach, w 1782 roku w Wiedniu. Sukces był wielki, Goethe, a także stary Gluck pełni byli słów uznania. I tylko Bretzner narzekał w Berlinie, że jakiś „nieznany facet" przerobił nieudolnie jego „świetną" (zapomnianą już dziś) operetkę.

MIEJSCE: TURCJA. Czas: XVI wiek. Piękna Konstancja i jej niemniej urocza pokojówka Blonda zostają napadnięte i umieszczone w pałacu Baszy Selima. Kochający Konstancję Belmonte oraz jego sługa Pedrillo, zalecający się do Blondy zamierzają uwolnić obie kobiety. Oczywiście, są duże trudności, ale wreszcie ucieczka jest obmyślona. Gdy jednak cała czwórka o północy opuszcza już park pałacowy, budzi się Osmin, czuwający nad posiadłością Baszy. Spisek jest odkryty, winni stają przed obliczem Selima (na rys.). Ten poznaje w Belmoncie syna swego największego wroga, groźnie zgrzyta zębami, obmyśla tortury... ale ostatecznie wzruszenie tak wielką miłością Belmonta i Konstancji, łagodzi jego gniew. Darowuje wszystkim wolność, kurtyna opada z uznaniem.

WESELE FIGARA



Obie sztuki Beaumarchaisgo: CYRULIK SEWILSKI i WESELE FIGARA są Wam na pewno dobrze znane. Warto natomiast przypomnieć, ze pierwszą z nich jako operę opracował już w 1776 roku Giovanni Paistello (nie mylić z późniejszą, popularną operą Rossiniego). Zwróciwszy na to uwagę, Mozart poprosił Lorenza da Ponte o opracowanie libretta do WESELA FIGARA. Da Ponte był spryciarzem, wiedział jakie kłopoty miał Beaumarchais ze swą rewolucyjną komedią, która kilka lat czekała na wystawienie, toteż w libretcie gładko pozacierał sprawy drażliwe. Powstała z tego opera buffo, posługująca się klasycznymi środkami przebrania i wynikających stąd nieporozumień.

MIEJSCE: OKOLICE SEWILLI. Czas: koniec XVIII wieku. Figaro, lokaj hrabiego Almawiwy ma się żenić z Zuzanną, pokojówką hrabiny. Są jednak kłopoty. Pierwszy to ten, iż hrabia sam kocha się w Zuzannie, drugi, że Figaro przyrzekł podobno małżeństwo Marcelinie, klucznicy zamkowej. Hrabina chciałaby na powrót odzyskać miłość męża, a paź Cherubin, zakochany również w Zuzannie, ścigany jest rozmiłowanym wzrokiem Barberiny, córki zamkowego ogrodnika. I jak to wszystko rozwikłać? Najpierw obietnica Figara. Otóż na rozprawie sądowej (na rys.) okazuje się, iż Figaro jest... synem Marceliny i Bartola. Ten kłopot więc odpada. Inne — stopniowo też. Ostatecznie wszystkie pary łączą się właściwie: wesele sprytnego Figara może się odbyć bez przeszkód.

DON JU



Ilość opracowań tematu DON JUANA w literaturze jest olbrzymia. Opiewali go Molier i Byron, Puszkin i Goldoni, nie mówiąc już oczywiście o kilku Hiszpanach i wielu, wielu innych. Podobnie w muzyce Don Juan dorobił się kilku oper, lecz właściwie tylko jednej nieśmiertelnej: Mozarta. Libretto opracował znów da Ponte. Tym razem nie miała to być już opera buffo, lecz dramat „giocoso": pogodna sztuka o poważnym podłożu, łącząca tragizm i komizm zarazem. Partyturę napisał Mozart w ciągu kilku miesięcy, a znakomitą, grywaną dziś często na koncertach uwerturę, skomponował ostatniej nocy przed prapremierą w Pradze (w 1787 r.) podczas rozmów i picia ponczu...

MIEJSCE: MIASTO W HISZPANII. Czas: po roku 1600. Trochę to będzie inaczej niż w sławnej sztuce Moliera. Rzecz zaczyna się pojedynkiem Don Juana z komandorem, który staje w obronie czci swej córki Anny (na rys.). Don Juan zwycięża i nierozpoznany ucieka. Spotyka teraz porzuconą przez siebie dawniej donnę Elwirę. Jej wyrzutów słucha jednym uchem, zalecając się z kolei do Zerliny, młodej wieśniaczki. Zjawia się też donna Anna ze swym kochankiem, prosząc Don Juana, by pomógł jej... znaleźć mordercę ojca. Przyrzeka odnaleźć! Wreszcie jednak zostaje rozpoznany. i zmuszony jest do ucieczki... Rzecz kończy się tak, jak we wszystkich innych Don Juanach: Posąg zabitego komandora, przybywa na proszoną kolację, a Don Juan ginie rażony piorunem.

COSI FAN TUTTE



Tym razem nie utwór literacki, lecz prawdziwe zdarzenie dało podstawę libretta. Mozart szybko wypełnił tekst da Ponte'a muzyką, premiera odbyła się w Wiedniu w 1790 roku, ale... od tej chwili zaczęły się komplikacje. Libretto uznano za płoche, wręcz niemoralne. Poprawiano więc to i owo, wygładzano, umoralniano i zmieniano. Doszło wreszcie do tego, iż do tejże muzyki Mozarta podłożono zupełnie inną sztukę Calderona, w Paryżu zaś połączono ją z komedią Szekspira... Wtedy dopiero nieco się opamiętano, wrócono do punktu wyjścia i zaczęto wystawiać COSI FAN TUTTE w oryginalnej, premierowej postaci. COSI FAN TUTTE czyli po polsku TAK CZYNIĄ WSZYSTKIE...

MIEJSCE: NEAPOL. Czas: XVIII wiek. Dwaj oficerowie Guglielmo i Ferrando zaręczeni są z dwiema siostrami: Fiordiligi i Dorabellą. Zakładają się z powątpiewającym Don Alfonsem o to, że ich narzeczone są ideałem wierności. Zakład stoi. Oficerowie rzekomo wyruszają na wojnę (na rys.), wracają jednakże szybko z powrotem, przebrani za... Albańczyków. Każdy z nich zaczyna się w tym przebraniu zalecać do narzeczonej drugiego. Są nierozpoznani, ale też — nie zyskują względów. Gdy jednak rzekomo zrozpaczeni popełniają rzekome samobójstwo, po wyratowaniu ich — panny zaczynają łagodnieć. Dochodzi do tego, iż Fiordiligi i Dorabella nagłą do podpisania ślubnych kontraktów z przystojnymi „Albańczykami"! Zawiedzeni oficerowie odsłaniają prawdziwe oblicze, ale — kończy się dobrze. O cóż się długo gniewać? Przecież — cosi fan tutte...

CZARODZIEJSKI FLET



Emanuel Schikaneder, planował w 1791 r operę czarodziejską i postanowił ją oprzeć na temacie modnej wówczas sztuki Wielanda. Niestety, gdy praca nad librettem CZARODZIEJSKIEGO FLETU była już niemal na ukończeniu, wystawiono w Wiedniu operę opartą na tym samym utworze Wielanda. To zmusiło Schikanedera do przeróbki swego dzieła. Poprzestawiał wszystko na odwrót: zły czarodziej stał się w nowej wersji kapłanem mądrości, dobra królowa nocy została przedstawicielką złych potęg. Równocześnie poczyniono aluzje do modnego wówczas wolnomularstwa. W rezultacie powstało dzieło mętne i niekonsekwentne, zawdzięczające dziś żywot tylko muzyce Mozarta.

MIEJSCE: NA WSCHODZIE. Czas: legendarny. Książę Tamino napadnięty przez smoka, uratowany zostaje przez Królową Nocy. Władczyni prosi go, aby wybawił jej córkę Paminę, porwaną przez niedobrego czarodzieja Sarastro. Wzamian przyrzeka mu rękę Paminy. Do pomocy Tamino otrzymuje ptasznika królowej, Papagena oraz czarodziejski flet, który ma go ratować w niebezpieczeństwach. Tamino chętnie udaje się na niebezpieczną wyprawę. W rezultacie jednak okazuje się, iż Sarastro, Kapłan Słońca jest uosobieniem idealnej dobroci, a Paminę zabrał tylko dlatego, by ustrzec ją od złego wpływu złej matki. Tamino zyskuje miłość Paminy i postanawia wstąpić w szereg mądrych Kapłanów Słońca. W tym celu przejść musi kilka prób, w czym pomaga mu i czarodziejski flet, którego głosu słuchają wszelkie zwierzęta (na rys.)

ry. Odczekawszy jeszcze rok, ojciec wziął Wolfganga i jego 11-letnią siostrę, by zademonstrować umiejętności swych dzieci elektorowi bawarskiemu, a potem na dworze wiedeńskim. Od sukcesu do sukcesu — rozpoczynają się podróże cudownych dzieci po całej Europie. Mijają — jak się to mówi — lata. W 8-mym roku życia komponuje Mozart swoje pierwsze symfonie, w 10-tym operę i mszę, których wykonaniem sam dyrygował, w 14-tym został kapelmistrzem w rodzinnym Salzburgu. Wkrótce potem sławna bolońska Academia Filharmonica przyjmuje go w poczet swych członków.

Podczas jednego z późniejszych tournée Mozart przybywa do Mannheimu. Spotyka tu wielu znanych wówczas muzyków i — zakochuje się w córce jednego z nich, Fridolina Webera. Z Aloizją (tak brzmiało jej imię) rozłącza Wolf-

JULIUSZ KYDRYŃSKI

MAŁY SŁOWNIK TEATRU XX WIEKU

GRABOWSKI Władysław (ur. 1883) — znakomity aktor komediowy, obchodził w r. 1953 jubileusz 50-lecia pracy scenicznej. Choć zasadniczy „genre“ Grabowskiego stanowiły role lekkich amantów oraz role komiczne, szeroka rozpiętość jego talentu pozwalała mu grać także świetnie klasyczny repertuar poetycki (role tyt. w „Fantazym“ i „Mazepie“), a — z upływem lat — role wyraźnie charakterystyczne. Na otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie, grał w „Irydionie“ (1913) rolę Piladesa. Pisał o nim Leon Schiller: „jest ...uosobieniem kapitalnego instynktu teatralnego, który pozwala mu lawirować między groteską artystyczną, a wyrazem realistycznym“. A. Zelwerowicz oświadczał, że Grabowski „przejdzie do historii naszego aktorstwa jako wielka, swoista indywidualność; — ciekawy, pełnowartościowy, oryginalny „typ“ rasowego aktora“. Władysław Grabowski grywa do dziś — ostatnio gra Melville'a w „Marii Stuart“ Schillera w Teatrze Narodowym.

GRAND-GUIGNOL — tak nazywa się paryski „teatr okropności“, grywający (często także i jednoaktowe) utwory o treści makabrycznej, niesamowitej, pełnej grozy. Na zakończenie każdego programu, dla rozpogodzenia widowni, daje się tam krótką, wesołą farsę. Ciekawe są dzieje nazwy teatru. Otóż „Guignol“ było to imię najpopularniejszej postaci francuskiego teatru marionetek. Guignol narodził się z końcem XVIII w. w Lyonie, skąd sława jego rozprzestrzeniła się po całej Francji. Następnie nazwą Guignol poczęto określać sam teatrzyk marionetek. Wreszcie w paryskim argot, określenie to oznacza po prostu... policjanta.

GRATIS — czyli za darmo. Dawniej wystarczyło otrzymać od znajomego aktora „kartkę“, aby bezpłatnie wejść do teatru. Dziś manipulacje, związane z otrzymaniem gratisowych lub ulgowych biletów, są bardziej skomplikowane.

GRECKI teatr — powstał z obrzędów religijnych, a do rozkwitu doszedł ok. V wieku p. n. e., gdy działali najwybitniejsi jego twórcy, w tragedii Ajschylos, Eurypides, Sofokles, w komedii Arystofanes. Przedstawienia greckie, związane z uroczystościami i świętami państwowymi trwały nieraz po kilka dni, a odbywały się w teatrach, zbudowanych z kamienia, o amfiteatralnej widowni, pozbawionych dachu. Aktorzy greccy występowali w maskach o specjalnie skonstruowanych otworach na usta, wzmacniających głos, tak aby słyszano ich w najodleglejszych miejscach widowni i na koturnach, czyli sandałach o niezwykle wysokich podeszwach — także dlatego, aby ich było widać z dużego oddalenia. Technika sceny była już u Greków bardzo wysoko rozwinięta.

GREGOR Joseph — profesor uniwersytetu w Wiedniu ogłosił dzieło pt. „Weltgeschichte des Theaters“ (Historia teatru światowego), które do dnia dzisiejszego, pomimo swych braków i pewnej przestarzałości, jest jedyną, a zatem podstawową pracą, starającą się ogarnąć całość tak ogromnego tematu.

GRODZIEŃSKA Stefania — patrz hasła „Satyryczny repertuar“ oraz „Syrena-teatr“.

GROTESKA — (z włoskiego). w literaturze nazywamy tak utwór (także teatralny) o silnych akcentach komicznych i karykaturalnej przesadzie, o zaskakującym spiętrzeniu absurdów i nieprawdopodobieństw, często o zabarwieniu satyrycznym (np. „Zielona Gęś“ Gałczyńskiego).

„GROTESKA“ — tak nazywa się krakowski teatr lalek, założony i prowadzony przez Zofię Jaremową (dyrektor i kierownik artystyczny) i Władysława Jaremę (główny reżyser). W czasie swego 10-letniego istnienia „Groteska“ zyskała sobie opinię najlepszego teatru tego typu w kraju. Opinię tę zawdzięcza zarówno wysokiemu poziomowi techniczno-aktorskiemu, ciekawemu doborowi repertuaru (największe sukcesy: „Cyrk Tarabumba“ „Nowe szaty króla“, „Igraszki z diabłem“), jak i znakomitym inscenizacjom plastycznym. Kierownik plastyczny teatru Kazimierz Mikulski, oraz plastycy: Jerzy Skarżyński i Lidia Minticz, są stałymi scenografami niemal wszystkich przedstawień.



Aktor w masce — postać z „Nowych szat króla“ — świetnego przedstawienia krak. „Groteski“

GRUSZCZYŃSKI Krzysztof — młody i uzdolniony (tak!) współczesny autor dramatyczny. Przed kilku laty wiele naszych teatrów grało z powodzeniem jego „Pociąg do Marsylii“.

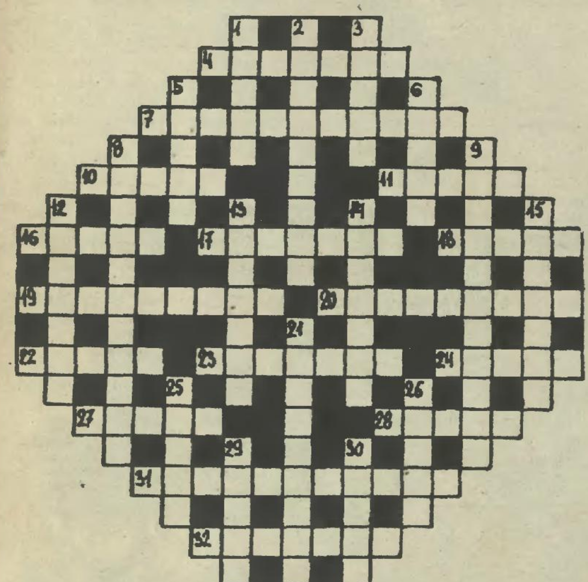
GRYWIŃSKA Irena — artystka dramatyczna, żona i wielokrotna partnerka sceniczna Karola Adwentowicza, przez pewien czas prowadziła razem z nim Teatr Kameralny w Warszawie. Sworzyła szereg interesujących kreacji w rolach charakterystycznych.

„GRZECH“ — tytuł zapomnianego i niedokończonego dramatu Stefana Żeromskiego. Dramat ten przed kilku laty „odkrył“ i uzupełnił Leon Kruczkowski. Jego wystawienie w warszawskim Teatrze Kameralnym w r. 1953 stało się sensacją artystyczną kraju. Zespół artystów polskich zaprezentował także ten utwór na dorocznym międzynarodowym festiwalu teatralnym w Paryżu w r. 1954. Pamiętna kreacja Aleksandra Zelwerowicza.

GRZYMAŁA-SIEDLECKI Adam (ur. 1876) — wybitny pisarz, krytyk i człowiek teatru. Napisał szereg komedii („Sublokatorka“, „Popas króla jegomości“, „Spadkobierca“, „Pani ministrowa“), granych w naszych teatrach z dużym powodzeniem. Jako krytyk często polemizował z Boyem-Żeleńskim, z którym zresztą żył w przyjaźni. Już w r. 1906 prowadził w Krakowie teatr ludowy przeznaczony dla szerokich warstw ludności. W latach 1913—15 był dramaturgiem warszawskich „Rozmaitości“, a 1916—18 dyrektorem Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Obecnie pisze podobno swoje wspomnienia teatralne. W przyszłym roku przypada jubileusz półwiecza pracy Grzymały-Siedleckiego dla polskiej sceny. Mógłby się on odbyć w Krakowie, z którym pisarz związany jest długoletnią działalnością i szczerym sentymentem.

(W następnym numerze: **„GWIZD“** *i początek* **„H“**).

KRZYŻÓWKA „ORBISU” NR 17



Poziomo: 4. nie jest się tym we własnym kraju (w liczbie mnogiej), 7. rodzaj dowodu, 10. dom, w którym nikt miejsca nie zagrzeje, 11. maleńki hałas, 16. rzeka w Polsce, 17. chwali za pieniądze, 18. jeśli są malowane, gapi się na nie cielę, 19. słynne miejsce zbiorowego łamania kończyn, 20. sklep szczęśliwych trafów (może być „Orbisu“), 22. rodzaj materiału, 23. beskidzka miejscowość wypoczynkowa, gdzie „Orbis“ ma pensjonaty, 24. nie po, 27. to, z czego wyskakujesz, 28. wyspa w grupie Filipinów, 31. dowód własności palta, 32. gra lub naleśnik.

Pionowo: 1. w wielu wypadkach ta instytucja ułatwia ci życie, 2. rozrywka, którą widać lubisz, 3. sól kwasu octowego, 5. tłuszcz lub bogini urodzaju, 6. słynny był Sobieskiego do Wiednia, 8. przedmiot w szkole muzycznej, 9. część biura, tradycyjnie obsadzana przez kociaki, 12. szwankuje w niektórych towarach, 13. prosty cukier sześciowęglowy, 14. nie potomek (wspak), 15. nie młodzieniec, 21. mieszkanka jednej ze stolic europejskich, także nazwa czynnego przez wszystkie sezony pensjonatu „Orbisu“ w Zakopanem, 25. dostajesz go rok rocznie, 26. pojazd bez kół, 29. początek lotu, 30. miejsce, gdzie ma biec krakowiaczek żwawy.

Pomiędzy Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązanie krzyżówki do dnia 1 stycznia 1956 r. (niedziela), zostaną rozlosowane następujące nagrody:

1 NAGRODA: 1 tygodniowy pobyt w pensjonacie „Orbisu“ w górach z bezpłatnym przejazdem poc. II kl. tam i z powrotem.

2 NAGRODA: 1 bezpłatny przelot samolotem na dowolnej linii krajowej tam i z powrotem.

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nadsyłać do Redakcji „Przekrój“ Kraków, skr. pocztowa 533, z zaznaczeniem na kopercie „Krzyżówka Orbisu“.

*

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z nru 555

Poziomo: 7. andrus, 8. aromat, 11. szklanka, 12. podstawa, 13. ocena, 15. stany, 17. Gopło, 18. akta, 19. tran, 20. Ramon, 21. biuro, 22. indyk, 23. artel, 25. post, 26. apel, 29. sopel, 30. aport, 33. Danae, 36. Lewiatan, 37. wieloryb, 38. Madryt, 39. rzepik.

Pionowo: 1. anilina, 2. brona, 3. asfalt, 4. harpun, 5. rondo, 6. bastion, 9. rzecz, 10. zwały, 14. Akropol, 15. Sarmata, 16. talenty (wspak), 17. Ganimed, 24. Tomek, 25. pelikan, 27. Laponia, 28. Satyr, 31. penaty, 32. rewiry, 34. start, 35. feler.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki z nru 555 orzymują: **R. RAGUSKI** z Mińska Mazowieckiego, **A. PAPIERNIAK** ze Strzemieszyc, **Z. CZAPLICKI** ze Salinogrodu, **B. CADER** z Buczkowic, **J. KOZA** z Krakowa, **H. WEGNER** z Ełku, **P. WIECZOREK** ze Stalinogrodu, **H. ZDZIOR** z Dębicy.

*

ROZWIĄZANIE KRZYŻOWKI „ORBISU“ nr 16 z nru 556

Poziomo: 4. Rabka, 10. operetka, 12. cielisty, 13. piekarz, 14. bednarze, 15. Eldorado, 16. kalendarze, 19. powodzenie, 23. iwa, 25. re, 26. noc, 29. pensjonaty, 31. repatriant, 33. Przekrój, 37. uwertura, 39. agresor, 40. hydrofan, 41. egzotyka, 42. Szczyrk.

Pionowo: 1. śpiewacy, 2. pranie, 3. Star, 5. Abel, 6. kwas. 7. dren (wspak), 8. pierze, 9. stadnina, 11. rzepa (wspak), 12. Czerwony Kapturek, 17. diabolo, 18. epolety, 20. dzianet, 21. los, 22. bi, 24. wietrzyk, 27. kontrakt, 28. pasjans, 30. swetry, 32. istota, 34. rafa, 35. cera (wspak), 36. osty, 38. Elza.

W wyniku losowania krzyżówki „ORBISU“ Nr 16 z nru 556 nagrody otrzymują:

1 NAGRODA: UDZIAŁ W WYCIECZCE TURYSTYCZNEJ ORGANIZOWANEJ PRZEZ „ORBIS“ DLA 2-CH OSÓB: **JANINA MALISZEWSKA**, Szczecin, ul. Ks. Ściegiennego 10/1.

2 NAGRODA: UDZIAŁ W WYCIECZCE TURYSTYCZNEJ ORGANIZOWANEJ PRZEZ „ORBIS“ DLA 1-NEJ OSOBY: **HANNA SCHMITZEK**, Warszawa, Oboźna 8—19.

3 NAGRODA: 1 BON KONSUMPCYJNY NA 100 ZŁ DO ZREALIZOWANIA W RESTAURACJI HOTELU „ORBIS“: **STEFAN TOBIASZ**, Kraków, Krowoderska 63a/5.

ganga ojciec, który chciałby zatrzymać genialnego syna jak najdłużej przy sobie. Wiadomo — dochody! Gdy po kilku latach Mozart spotyka ją znowu, okazuje się, iż Alojzja wybrała już kogoś innego... Było mu jednak danym związać się z rodziną Weberów; po jakimś czasie bowiem żeni się z siostrą Alojzji — Konstancją.

Prowadzi ciężkie, tragiczne chwilami życie. Walcząc często z biedą i intrygami przeciwników, przenosi się z miejsca na miejsce. Z Salzburga do Linzu, stąd do Wiednia, Pragi, Berlina, Drezna. Komponuje niesamowite wprost ilości utworów. U schyłku życia pisze największe swe dzieło sceniczne, operę „Czarodziejski flet“ oraz genialne Requiem. Premiera „Fletu“ odbyła się 30 września 1791 roku. 5 grudnia tegoż roku Mozart umiera. Chora Konstancja nie mogła brać udziału w pogrzebie. Kilku przyjaciół nie odprowadziło nawet konduktu do samego grobu... W rezultacie właściwie do dziś jeszcze nie wiadomo na pewno, gdzie pochowano Mozarta.

Pozostawił 19 oper, ponad 50 symfonii, ponad 50 koncertów, 15 mszy, 32 kwartety itd. Urok Mozarta, a zarazem jego wielkość leży przede wszystkim w doskonałości formy, wdzięku, prostocie i pogodnym nastroju większości jego utworów. Największe bodaj zasługi ma jednak Mozart w dziedzinie opery. Jego twórczość posiada tutaj przełomowe znaczenie; harmonijnie zespalając cechy różnych stylów narodowych, kończy ona hegemonię opery typu włoskiego, przygotowując już rozwój opery romantycznej. Po mistrzowsku władając swym rzemiosłem, potrafił Mozart połączyć szczerość i siłę wyrazu z imponującą konstrukcją poszczególnych scen. Jego muzyka podnosi, uszlachetnia często zbyt błahe lub zbyt napuszone libretta, ich bohaterów czyni nieśmiertelnymi...

Spośród dziewiętnastu oper wybraliśmy dziś 6 najpopularniejszych. Jedne z nich znacie dobrze — innych wcale nie. Życzymy wam i sobie — abyście wszystkie z nich mieli sposobność ujrzeć nie tylko na tej oto „przekrojowej“ scenie.

LUCJAN KYDRYŃSKI

OSMIOLETNIA POETKA



MIŁOŚNIKÓW poezji pasjonuje we Francji niezwykła historia: ukazał się tom wierszy, napisanych przez 8-letnią dziewczynkę Minou Drouet.

Mała Minou to dziewczynka chorowita, bardzo nerwowa. Wychowuje się u przybranej matki, która adoptowała ją w wieku 18 miesięcy. Bardzo wcześnie zaczęła zdradzać zdolności muzyczne i zaczęła się uczyć muzyki. W 1954 Minou Drouet „zaprzyjaźniwszy się“ z dwojgiem profesorów konserwatorium, zaczęła do nich pisać zadziwiające listy, w które wplątywała równie zadziwiające wiersze. Listy te dostały się do rąk wydawcy Rene Julliarda. Julliard zachwycony wierszami, ogłosił je — tymczasem jako druk niesprzedażny — i rozesłał krytykom i poetom. W ciągu paru dni powstała cała „sprawa Drouet“.

Wiersze te pisane są wolnym wierszem, prawie bez interpunkcji, o luźnej budowie gramatycznej, odznaczają się dużą swobodą, w której bardzo „dorosłe“ przenośnie sąsiadują z dziecinnymi skojarzeniami. Jest w nich bez wątpienia duża zdolność poetyckiego wzruszenia.

Zrodziły się podejrzenia, iż wiersze napisała naprawdę matka Minou. Dwóch wysłanników tygodnika kobiecego „Elle“ ogłosiło po trzech dniach rozmów z Minou i jej matką „akt oskarżenia“. Ci, którzy wierzą w autentyczność wierszy znajdują jednak łatwo kontrargument na każdy punkt „oskarżenia“. Oto argumenty oskarżycieli i kontrargumenty obrońców.

Pani Drouet nie opuszcza nigdy córki. *(Nic to jednak dziwnego, skoro dziecko jest bardzo słabego zdrowia).*

Pani Drouet jest bardzo wykształcona. *(Ale talent poetycki nie ma nic wspólnego z wykształceniem).*

Większość „powiedzeń“ i fragmentów wierszy Minou cytuje pani Drouet, podczas gdy dziewczynka nie powiedziała w obecności reporterów nic szczególnego. *(Ten argument jest poważniejszy, ale nikt nie jest poetą ciągle, bez przerwy).*

Dziewczynka sprawia czasem wrażenie, że recytuje fragmenty wierszy na jakiś sygnał. *(Możliwe jednak, że Minou nie bardzo zdaje sobie sprawę ze swych poetyckich odkryć i matka niejako „wyzwala“ w niej pewne skojarzenia).*

Minou jest niewrażliwa na przyrodę. *(Ale wrażliwość na przyrodę rzadko u artystów uze-*



Nasza okładka: Święta przyszłości pod sztucznym księżycem. Poniżej: poeta zajmuje stanowisko wobec bliskich już lotów rakietą na Księżyc prawdziwy.

Adam Włodek

ROZWICHRZONY DYSKURS KSIĘŻYCOWY

Tak więc — kochany Satelito —
nadchodzi nieuchronnie czas,
kiedy współżycia nowe ramy
określić musi każdy z nas.

Najulubieńszy Rekwizycie
maniaków z wszystkich ziemskich ziem:
pierzchają romantyczne mgiełki,
zaciera rączki trzeźwy Lem!

Nie naprzykrzałem ci się nazbyt,
(może w tym nawet błąd mój tkwił?)
lecz tylu piewców poprzez wieki
męczyło cię do kresu sił...

Pół biedy, jeśli przyjdzie świecić
prawdziwie czułej zmowie serc —
lecz ileż częściej wzdycha pętak,
a ty jak głupi w wierszu sterczl!

Więc — gdym się zaczął tu rozwodzić
na temat stroicieli piór —
ty myślisz pewnie: Ach, nareszcie
zamilknie pomyleńców chór...

A chciałby mieć poeta prawo
do księżycowych nowych psot:
w naszym imieniu pan Twardowski
odbył już w teren pierwszy lot...

Nas łączy z tobą, Współkrążący,
porozumienia trwała nić:
wszak dawał przykład mistrz Gałczyński,
jak można z tobą w zgodzie żyć...

Gdyby udało się dosłużyć
znaczniejszych poetyckich szlif,
niech by nagrodą była jazda
w wichurze kometowych grzyw!

Proszę: przyjmujcie nas, rakiety
z kosmicznych wyrzucane proc!
Chcę przecież przeżyć z mą dziewczyną
prawdziwie księżycową noc.

Za to, Zaprzyjaźniony Globie,
odwdzięczę ci się, jeśli chcesz,
i dla odmiany — pod twym niebem
o Ziemi skrobnę czuły wiersz!

A dobra Ziemia mi wybaczy
takie przewrotne „och" i „ach":
najchętniej rzeczy nieuchwytne
zbliżamy w poetyckich snach.

Będzie pożytek z tej roboty:
każdy, najbardziej próżny paw,
paw-wierszotwórca, stanie wreszcie
mocno na gruncie ziemskich spraw.

PRZEKRÓJ tygodnia

Wybory we Francji

Nowy Rok 1956 Francja powita dwoma dniami świąt: dzień 2 stycznia jako dzień wyborów będzie też wolny od pracy. Parlamentarzyści francuscy są wściekli z powodu przyśpieszenia terminu wyborów, gdyż już trzecie z kolei święta Bożego Narodzenia mają zajęte (w 1953 — wielodniowa zacięta walka w związku z wyborem prezydenta; w 1954 — nie mniej długa i zacięta dyskusja oraz głosowania nad układami paryskimi; teraz — kampania przedwyborcza). Do walki o mandaty w Zgromadzeniu Narodowym liczne partie francuskie stają tym razem ugrupowane w trzy zasadnicze bloki:

● **Prawica** skupiona dokoła premiera Faure'a. Należą tu stronnictwa „niezależnych", „chłopskie", konserwatywny odłam radykałów, oraz byłych gaullistów (ARS). Chadecka partia MRP (Bidault) która zwykle akcentuje swe „społeczne" stanowisko, tym razem skłania się również ku prawicy.

● **„Front republikański"** skupiony dokoła Mendes France'a. Grupuje on socjalistów, część radykałów, część byłych gaullistów i mniejsze grupy, te które występują chętnie pod szyldem „lewicy", ale odrzucają sojusz z komunistami.

● **Komuniści** (i republikanie postępowi) proponowali socjalistom i radykałom sojusz wyborczy, który jedynie mógłby zapewnić klęskę prawicy, na co jednak kierownictwa tych partii się nie zgodziły.

Wybory odbędą się na podstawie ordynacji 1951 roku, mniej antydemokratycznej niż system większościowego głosowania w małych okręgach (który chciał przeforsować Mendes France), ale gorszy niż system proporcjonalny. Obowiązująca ordynacja zezwala na łączenie się w departamentach list poszczególnych partii w tzw. „listy spowinowacone". Jeśli któraś taka lista uzyska **więcej niż 50%** głosów, wtedy otrzymuje ona **wszystkie** mandaty w tym departamencie (województwie). Jeśli natomiast **żadna** lista nie zdobędzie 50% głosów, wówczas rozdział mandatów w danym departamencie następuje **proporcjonalnie**.

Obowiązujący system obliczony jest specjalnie na to, by ułatwić tworzenie się koalicji wszystkich partii antykomunistycznych i pozbawić on w 1951 roku komunistów kilkudziesięciu mandatów. Tym razem ze względu na gwałtowne spory pomiędzy poszczególnymi partiami burżuazyjnymi, zasada proporcjonalności będzie prawdopodobnie stosowana częściej niż w 1951 roku.

Jaki będzie konkretny wynik wyborów przewidzieć trudno. Prawdopodobnie nie zmienią one jednak wiele w układzie sił politycznych we Francji.

Z Azji

Towarzysz Nu

„Zwracając się do mnie i Nikolaja Aleksandrowicza Bułganina premier Burmy nazwał nas towarzyszami. Tak, jesteśmy towarzyszami we wspólnej walce o interesy pokoju i przyjaźni... Niech mi wolno będzie raz jeszcze złożyć wam, drogi prezydencie Ba U, wam, towarzyszu Nu, wam wszystkim przyjaciele, całemu narodowi burmańskiemu życzenia sukcesów w umocnieniu niezawisłości waszego kraju". *(Z przemówienia N. Chruszczowa na wiecu w Rangunie).*

U studentów

„Wizyta wywarła ogromne wrażenie na studentach uniwersytetu w Rangunie, z których w przyszłości rekrutować się będą kierownicy życia Burmy. Podczas przemówienia Chruszczowa niektóre studentki były tak wzruszone, iż było widać łzy w ich oczach. Studenci okazywali swój entuzjazm unosząc zaciśnięte pięści w pozdrowieniu frontu ludowego". *(Z relacji korespondenta „New York Timesa" o spotkaniu studentów burmańskich z przywódcami radzieckimi, na którym Chruszczow opowiadał o kolejach swego życia: jak był żołnierzem, robotnikiem, słuchaczem fakultetu robotniczego, studentem akademii przemysłowej).*

Opinia Ameryki

„To była satysfakcja zrewanżowania się Zachodowi za wszystkie zniewagi i wyzysk jaki cierpiał w przeszłości naród hinduski, za niedawny afront jakim w oczach Hindusów jest pakt amerykańsko - pakistański przewidujący dostawę broni dla Pakistanu. Patrzajcie — zdają się oni mówić — dajemy sobie radę sami, nie potrzebujemy was". *(Korespondent dziennika „Washington Post" z Kalkuty).*

Milionerka

Jedenastą rocznicę swego wyzwolenia Warszawa obchodzić będzie jako miasto znowu milionowe. Milion mieszkańców przekroczyła stolica już w listopadzie. Po raz pierwszy Warszawa została milionerką przed 30 laty. W 1939 przekroczyła liczbę 1.350.000 mieszkańców.

Nafta

Być może, krajobraz polskiego wybrzeża wzbogaci się kiedyś o sztuczne wysepki-platformy z szybem naftowym, takie jakich setki spotkać można u wybrzeży Morza Kaspijskiego koło Baku, u brzegów Texasu czy Wenezueli. Na razie jest to tylko fantazja. Ale na obszarach niżowych północno - zachodniej Polski ciągnących się aż po wybrzeże Bałtyku w Koszalińskiem — **jest nafta**. Trzeba ją tylko znaleźć. A szuka się jej przy użyciu najnowocześniejszych metod naukowych i zapowiedzi są obiecujące.

Nafty w ogóle jest w Europie więcej niż do niedawna przypuszczano. Podobne do naszych obszary niżu niemieckiego w NRF dają już poważne ilości ropy naftowej. Rozrastają się nowe zagłębia na Węgrzech, w Austrii, we Francji. Ale najbardziej sensacyjnie sprawa wygląda we Włoszech.

Na samej tylko Sycylii, jak obliczają eksperci, można by w ciągu kilku lat doprowadzić wydobycie ropy do **13—14 milionów ton rocznie — a nowe złoża wykrywa się wciąż w całych Włoszech.** Tymczasem wielkie monopole (80% nafty włoskiej jest w rękach cudzoziemskich) świadomie hamują rozwój przemysłu naftowego. Amerykański koncern Gulf Oil celowo nie eksploatuje dużej części terenów na Sycylii na które otrzymał koncesję i ogólne wydobycie nafty sycylijskiej w ciągu ostatnich dwóch lat znacznie się **zmniejszyło**. Chodzi o to, by zwiększając wydobycie nie spowodować obniżki cen ropy. W związku z tym istnieje poważny konflikt pomiędzy przemysłowcami włoskimi a towarzystwami amerykańskimi i popierająca te towarzystwa ambasadą USA.

Hemingway



Laureat Nobla na rok 1954, Ernest Hemingway posiada obecnie na składzie trzy gotowe powieści, a czwartą, liczącą już 700 stron, spodziewa się skończyć w lutym przyszłego roku i również na razie nie publikować. O treści tych utworów nie wie nic ani żona pisarza, ani nikt z jego przyjaciół, ani wydawca. Manuskrypt każdej powieści oraz jego kopię na mikrofilmie przechowuje Hemingway w skrytkach dwóch banków: jednego w USA, drugiego na Kubie, gdzie obecnie stale mieszka.

Powód, który skłonił znakomitego pisarza do zwłoki w opublikowaniu swych nowych powieści jest bardzo prozaiczny. Pragnie on uniknąć wysokiej progresji podatkowej stosowanej w USA. Gdyby bowiem do jego obecnych znacznych dochodów z dotychczasowych dzieł doszły jeszcze wpływy z nowych powieści, wówczas blisko 85% tych ostatnich wpływów pochłonąłby podatek dochodowy. „Poza tym jest to mój własny system ubezpieczenia na życie zapewniający spokojną przyszłość mojej rodzinie" — mówi Hemingway.

Żelazny Grad

Przeżywszy lat 98 zmarł w rezerwacie indiańskim w Południowej Dakocie (USA) wódz Wa-Sue-Ma-Za albo Żelazny Grad. Był on prawdopodobnie ostatnim żyjącym uczestnikiem słynnej bitwy pod Little Big Horn w 1877 r. — ostatniego wielkiego zbrojnego starcia Indian z wojskami amerykańskimi. W bitwie tej Siuxowie pod wodzą Siedzącego Byka zadali ciężką klęskę Amerykanom. Zginął wtedy generał Custer i kilkuset żołnierzy z oddziałów pacyfikacyjnych wysłanych przeciw Siuxom, usiłującym bronić swych ziem przed inwazją białych poszukiwaczy złota i osadników. (Patrz współczesną relację Henryka Sienkiewicza w jego „Listach z Ameryki").

Waga

Nawet poważniejsza prasa amerykańska prześmiewa się z wścibstwa własnych reporterów, którzy zdobywają i triumfalnie przynoszą czytelnikom na przykład najbardziej intymne szczegóły o stanie zdrowia i funkcjonowaniu poszczególnych organów różnych osobistości. Niekiedy jednak zdarzają się przy tym wiadomości dość zabawne. Na przykład informacja, że prezydent Eisenhower stracił w czasie swej choroby na wadze 4 funty — zaś jego lekarz osobisty, generał major Howard Snyder schudł w tym samym czasie o 6 funtów.

Lżej chorować

W przyszłym roku polski przemysł farmaceutyczny przystąpi do produkcji następnego z kolei antybiotyku-streptomycyny. Produkcja antybiotyków w porównaniu z 1950 rokiem wzrosła w Polsce o 3.756%! Niedługo zaczniemy też wyrabiać aureomycynę, mafarsen i bilamid. Cieszymy się z tego bardzo — oby tylko to wszystko można było nabyć w aptekach!

Jeszcze raz

...wyjaśniamy wszystkim Czytelnikom, którzy chcą zaabonować „Przekrój" lub utrzymać dawną prenumeratę i załączają w tym celu pieniądze, tłumaczą, że są abonentami „Przekroju" od 10 lat, powołują się na swą znajomość ze znajomymi redaktorami lub znajomymi ich znajomych:

Redakcja „Przekroju" nie ma żadnego wpływu na sposób rozdziału pisma i na zarządzenia „Ruchu" w sprawie prenumeraty. Z chwilą wydrukowania „Przekrój" przechodzi w ręce „Ruchu", który zajmuje się sprawami kolportażu, prenumeraty itp. Na pociechę możemy tylko poinformować, że od tego numeru nakład „Przekroju" zostaje w pewnym stopniu zwiększony. Wesołych Świąt!

---

wnętrznia się w życiu codziennym).

Minou nie zna sensu niektórych używanych przez siebie słów. *(Argument poważny, ale także nie decydujący — mogą istnieć u dziecka-poety skojarzenia czysto dźwiękowe. Minou może też nie umieć zdefiniować słowa, które intuicyjnie rozumie).*

Minou nie poznaje własnych utworów. *(Może jednak Minou nie zwraca uwagi na własny „zmysł poetycki", uważając go za zupełnie naturalny).*

I tak dalej.

Trzeba też zaznaczyć, że talent poetycki u dziecka nie jest niczym nieznanym. Przed wojną poeci-nadrealiści odkryli kilkoro malutkich poetów, z których najbardziej znana była Gisèle Prassinos. Na ogół jednak talent poetycki, który objawia się przed 12-tym rokiem życia, gaśnie potem w wieku dojrzewania.

Dosyć prawdopodobna wydaje się taka interpretacja. Pani Drouet jest osobą dość niecodzienną: mimo rzeczywiście dużego wykształcenia, zajmuje się spirytyzmem, wróżbami itp. Możliwe, że wiersze są wspólnym dziełem matki i córki: pani Drouet może pewne rzeczy córce sugerować, uzupełniać pomysły i wiersze małej Minou. W pewnych fragmentach utworów można się bowiem dopatrzeć wpływów stylistyki „dojrzałej" poezji — a z drugiej strony stwierdzono niewątpliwą wrażliwość i wynalazczość słowną dziewczynki.

W każdym razie — jak słusznie zauważył sędziwy krytyk, Robert Kemp — najrozsądniej byłoby pozostawić dziecko w spokoju. Jeśli bowiem jest w nim talent, nie trzeba go wypaczać przez niemądre wpływy — może ocaleje i da później „prawdziwą" poetkę. Jeśli zaś jest to mistyfikacja — to odbywa się ona ze szkodą dla zdrowia psychicznego małej Minou.

JB.

Nasze

KONKURSY

Tym razem cztery niezależne!

Dajemy tym razem aż cztery konkursy całkiem od siebie niezależne. To znaczy, że nagrody każdego konkursu będą losowane oddzielnie. Czytelnik może wziąć udział tylko w jednym konkursie, lub w dwóch, lub w trzech, albo też we wszystkich czterech.

Czytelnik, który weźmie udział we wszystkich konkursach t. j. „Dwóch Turków", „Gdzie piłka?", „Pęknięty zegar" i „Połącz 9 punktów" — może przy szczęśliwym trafie wygrać wszystkie cztery pierwsze nagrody!

Rozwiązania należy wysyłać na żółtych kuponach, które widzicie na tej stronie u dołu. Żółte pola kuponów należy po wypełnieniu wyciąć i przesłać w kopercie z napisem „KONKURSY" — w terminie **do dnia 3 stycznia (wtorek) — na adres: Tygodnik „Przekrój", Kraków, skrytka pocztowa 560.** Można wysyłać kupony w tej samej kopercie, co rozwiązanie konkursu na hasło o złomie ze str. 17.

Na każdy konkurs przeznaczonych jest tuzin nagród. Będą one rozlosowane między Czytelników, którzy nadeślą w terminie i na kuponach trafne rozwiązania.



DWÓCH TURKÓW

Powyżej reprodukowane dwa obrazki, przedstawiające dwóch Turków, na pierwszy rzut oka wydają się identyczne. A jednak różnią się od siebie te obrazki aż w 12 szczegółach. Obejrzyj dokładnie obrazki i wymień 12 punktów, w których różni się drugi obrazek od pierwszego.

I NAGRODA — **ADAPTER FRANCUSKI** na długogrające płyty, walizkowy, marki „Stare Prelude", z jedną płytą długogrającą.

oraz 11 dalszych nagród-upominków.

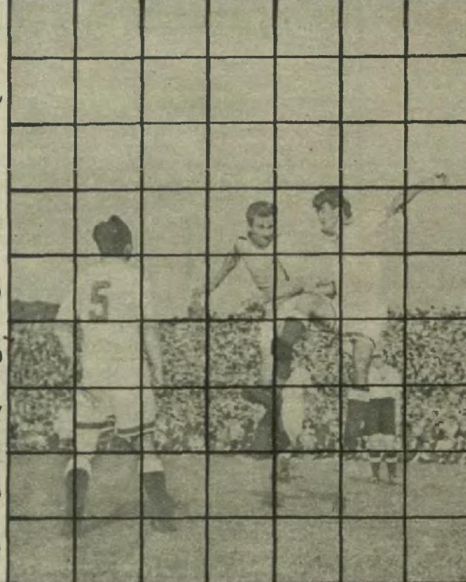
GDZIE PIŁKA?

Na zdjęciu przedstawiającym fragment meczu piłkarskiego, usunięto w retuszu piłkę. Należy zgadnąć, wnioskując z pozycji graczy, w której kratce zdjęcia ta piłka się znajdowała. Kratkę należy oznaczyć cyfrą i literą. W rozwiązaniu tego konkursu gra rolę trochę obserwacja, ale trochę i szczęście. Jest to więc konkurs-loteryjka.

I NAGRODA — Doskonały **ZEGAREK NA RĘKĘ** niemieckiej marki „Ruhla".

oraz 11 mniejszych lecz atrakcyjnych nagród.





KUPON KONKURSU „DWÓCH TURKÓW"

1 ...
2 ...
3 ...
4 ...
5 ...
6 ...
7 ...
8 ...
9 ...
10 ...
11 ...
12 ...

Imię i nazwisko ...

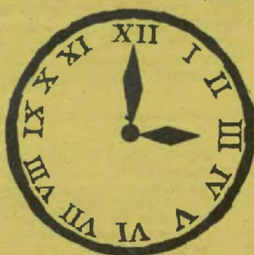
Adres ...

PĘKNIĘTY ZEGAR

W tarczę zegara wieżowego, którą widzicie poniżej na kuponie, uderzył piorun. Skutkiem tego tarcza pękła na 4 nieregularne części — w taki sposób, że suma cyfr na każdej z tych części wynosi 20. Wrysuj na tarczy 3 łamane linie, które podzielą tarczę na 4 części odpowiadające temu warunkowi.

I NAGRODA — **ZEGAREK NA RĘKĘ** niemieckiej marki „Ruhla", **oraz 11 ślicznych upominków.**

KUPON KONKURSU „ZEGAR"



Imię i nazwisko ...

Adres ...

POŁĄCZ 9 PUNKTÓW

Czterema prostymi kreskami, nie odrywając ołówka od papieru, połącz z sobą 9 punktów figurujących obok na kuponie.

I NAGRODA — **RADIOAPARAT „PIONIER"** w gustownej drewnianej skrzynce, 4-lampowy, **oraz 11 ładnych nagród-prezentów.**

● ● ●
● ● ●
● ● ●

KUPON KONKURSU „9 PUNKTÓW"

Imię i nazwisko ...

Adres ...

KUPON KONKURSU „GDZIE PIŁKA?"

Piłka jest w kratce: ...

Imię i nazwisko ...

Adres ...

WOJCIECH ZABŁOCKI

(2-gie miejsce na mistrzostwach w Wiedniu)

WIEDEŃ w skrócie

TURNIEJ stał pod znakiem doskonałej formy Węgrów, którzy zajęli wszystkie czołowe miejsca. Jedynie w szabli udało mi się wcisnąć między trójkę Madziarów: zająłem drugie miejsce przed zeszłorocznym mistrzem świata, Karpathym. Pierwszym był Gerevics, który przeżywa obecnie renesans formy. Mówię tu o corocznych mistrzostwach Wiednia w szermierce, które odbyły się od 1 do 4 grudnia.

*

Austria przechodzi teraz okres doskonałej koniunktury. Wiedeńczycy mówią: Szwajcaria nie będzie miała monopolu na neutralność.

Uroczystości otwarcia nowej opery trwały do 6 grudnia. Przez 3 tygodnie Wiedeńczycy podniecali się widokiem i opisami znakomitych gości. Bilety na premierę osiągnęły astronomiczną cyfrę 3 tysiące szylingów (przeciętne zarobki wynoszą 1500 s.) Pewien snob przemysłowy, chcąc widocznie zadziwić świat, jak Herostrates, wykupił dla siebie samego 6-osobową lożę za 17 tysięcy szylingów! I sam w niej siedział na przedstawieniu.

*

Zwiedziłem muzeum historii i sztuki, które posiada bodaj najliczniejszą na świecie kolekcję obrazów Breughla. Dopiero tutaj rozwiązałem zagadkę obrazu „Wesele chłopskie" i odnalazłem właściciela tajemniczej „trzeciej nogi". (Patrz „Przekrój": nr 237). Jest nim chłop siedzący na ławce.

*

Dzięki uprzejmości Poselstwa Polskiego w Wiedniu byliśmy w operze. Carmen śpiewała bawiąca tu na gościnnych występach Hiszpanka. Jej pełna temperamentu gra robiła duże wrażenie. W roli Don Josego występował Szwed. Podobno Austriacy nie mają dobrych tenorów.

*

Zawodnik, walczący w całym turnieju, przechodzi z reguły kilkugodzinny spadek formy. Jest to okres niebezpieczny, bo nie da się powiedzieć, kiedy nastąpi. W czasie Mistrzostw Wiednia ów spadek formy, (zwany przez nas „czasem depresyjnym"), miałem w półfinale. Całe szczęście, że w półfinale nie było wielu groźnych przeciwników i do finału zakwalifikowałem się mimo słabych walk. Mniej więcej godzinę po „czasie depresyjnym" następuje zwyżka formy. W Wiedniu odzyskałem formę właśnie wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebowałem: na finał.

JUBILEUSZ

JUBILEUSZ jest przejściem na emeryturę. Nie ma wypadku, by ktoś miał jubileusz, a potem zabłysnął jeszcze nowym dziełem. By nie zadać kłamu tej regule, ociągaliśmy się z jubileuszem Jana Kamyczka, którego 10-lecie pracy jako rysownika humorystycznego w naszym piśmie minęło już dobre pół roku temu. A nuż, myśleliśmy, jeszcze coś narysuje i cały jubileusz na nic. Jeszcze i dziś na pewno nie wiadomo, czy nie wróci mu twórcza wena, ale już ryzykujemy, i oto jubileusz. Z tej okazji przypominamy Czytelnikom „Przekroju" niektóre z tych żartów i rysunków Jana Kamyczka, które w swoim czasie cieszyły się powodzeniem.



— Panie Karafka, co jest z pańskim kapeluszem?
— Zamieniłem go w szatni: to jest kapelusz na wysokiego mężczyznę.



— Z czym pan tu przyszedł, panie Kapuściński?
— Kwiaciarnia była zamknięta, musiałem kupić czekoladki.



— Poproszę o szczoteczkę do zębów.



— Przybyło nam na wczasach 3 kilogramy.



— Widzisz, moja droga, tak chodzą ludzie w Ameryce.



— Proszę mi dodać siwych włosów: owdowiałam.



— Moja zona jest w ogrodzie: to ta w czerwonej sukni.



— Za co pan się przebrał, panie Karafka?
— Nie poznaje pan? Za słonia.



— Hallo, wolny?



— Ma pani wysoką gorączkę.



— Zerwałem z narzeczoną, czy przyjmie pan z powrotem pierścionek?
— Nie, ale mogę panu wyszukać inną panienkę.



— Żona trochę niedomaga, więc wziąłem zapasową.



— Zepsuła się bormaszyna, muszę kręcić pacjenta naokoło świderka.

P.S. W ostatniej chwili Jan Kamyczek narysował okładkę do niniejszego numeru (patrz strona 1)



Odcięci na płaskowzgórzu nazwanym Ziemią Maple White'a dwaj uczeni Challenger i Summerlee, dziennikarz Malone, oraz John Roxton, zapoznają się z tajemnicami przedhistorycznego świata.

Challenger i Summerlee znajdowali się nad brzegiem jeziora, gdzie kilku krajowców, pod ich kierownictwem łowiło im harpunami wielkie wodne jaszczurki. Roxton i ja pozostaliśmy w obozie. Kilkunastu Indian, zajętych rozmaitą pracą, uwijało się na skalistym zboczu w pobliżu jaskiń. Nagle rozległ się przeraźliwy okrzyk — „Stoa" — i ze wszystkich stron zaczęli biec mężczyźni, kobiety, dzieci, krzycząc ze strachu i uciekając panicznie w stronę jaskiń. Znakami wzywali i nas do pójścia za ich przykładem. Chwyciliśmy za karabiny.

W tym momencie zza drzew wybiegło dziesięciu lub dwunastu Indian. Za nimi pędziły dwa potwory takie, jak ten, który kiedyś w nocy napastował nasz obóz i prześladował mnie podczas samotnej wycieczki nad jezioro. Kształtem przypominały olbrzymie ropuchy, a poruszały się olbrzymimi susami. Ich cielska były większe od największego słonia. Nigdy jeszcze nie oglądaliśmy ich w dzień, bo są to zwierzęta nocne i we dnie ukazują się tylko wtedy jeśli zostaną spłoszone z legowisk.

Potwory dopadały uciekających, siejąc wśród nich straszne spustoszenie. Rzucały się kolejno całym swym ciężarem na ofiarę, gniotły ją na miazgę i dopadały następnej. Nieszczęśni Indianie krzyczeli rozpaczliwie, ale nie byli w stanie wymknąć się szybkim ruchom i sile swoich napastników. Padali jeden za drugim i zaledwie sześciu z nich zostało przy życiu, kiedy z Roxtonem pośpieszyliśmy im z pomocą. Niestety pomoc ta nie była wielka, a nas naraziła na niebezpieczeństwo.

Strzelaliśmy raz po raz z odległości kilkuset kroków, ale kule nasze wchodziły w ciała potworów nie czyniąc na nich wrażenia. Gady, pozbawione nerwów i ośrodków mózgowych, były nieczułe na wszelkie rany i odporne na pociski współczesnej broni. Udało nam się jedynie hukiem wystrzałów odwrócić ich uwagę i zatrzymać nieco pościg, dzięki czemu i my i Indianie zdołaliśmy schronić się na schody prowadzące do jaskiń. Ale zatrute strzały Indian, maczane w odwarze Strophantum i nurzane potem w gnijącej padlinie, okazały się skutecznymi tam, gdzie broń XX wieku była bezsilna.

Gdy oba potwory znalazły się u stóp jaskini, cały deszcz strzał posypał się na nie. W mgnieniu oka były nimi naszpikowane, a jednak nie dając znaku bólu, pięły się na skałę, drapały ją pazurami, wspinały się na schody i ciężko opadały na ziemię. Wreszcie jednak trucizna poczęła działać. Przeciągły ryk wydarł się z paszczy jednego potwora, który pochylając kwadratowy łeb, runął na ziemię. Drugi okręcił się kilkakrotnie, po czym wydając ostre, przenikliwe ryki, począł wić się w agonii, aż w końcu zesztywniał na ziemi.

Kiedyś, w lepszych warunkach, dokładniej opiszę nasze przeżycia wśród Indian szczepu Accala. Opiszę także tę cudowną noc księżycową, spędzoną na jeziorze, gdy zielony wąż wodny wychylił się z sitowia i porwał w swe sploty sternika z łodzi Challengera.

Opowiem także o przedziwnych, wielkich, nocnych stworzeniach, które żyją w błotach na wschód od jeziora i nocą unoszą się w powietrzu z fosforycznym blaskiem. Indianie boją się ich tak panicznie, że nie chcą zbliżyć się do błota, my zaś, choć dwukrotnie robiliśmy doń wyprawę i oglądaliśmy jego dziwacznych mieszkańców, jednak nie zdołaliśmy przebyć trzęsawisk i dotrzeć do ich legowisk. Powiem tylko, że wydały mi się większe od krowy, a wydzielały dziwny, piżmowy zapach.

Wspomnę również o wielkim ptaku, większym od strusia, o sępiej szyi i groźnym łbie, będącym jakby uosobieniem okrucieństwa i o toxodonie, wielkiej świni, o olbrzymich sterczących kłach, którąśmy pewnego ranka zabili przy wodopoju.

Przepraszamy Was, Czytelnicy, że na chwilę przerywamy tekst powieści, ale chcemy w tym miejscu zamieścić rozwiązanie naszej zgadywanki „Kradzież Damy z łasicą", ze str. 15-ej. Oto ono: Seweryn Oko upewnił się, że Chwast podał kłamliwe alibi, gdy zauważył iż „wybłyszczone, czarne półbuty" przestępcy „lśniły nieskazitelnie" (podpis 2). Oczywistą było rzeczą, że Chwast nie mógł wracać niebrukowaną polną drogą (podpis 1) pieszo, gdyż wówczas buty musiałyby być odpowiednio zakurzone. Chwast przyznał sam, iż dopiero co powrócił do domu i zdążył zdjąć tylko koszulę, a nałożyć szlafrok. Zaobserwowane przez Oko wizyty Chwasta w muzeach (podpis 1) i podane przez niego alibi sprawiły, iż detektyw Seweryn Oko mógł śmiało aresztować go jako podejrzanego. Oczywiście — cała ta historia z kradzieżą „Damy" w Krakowie jest tylko żartem, a „Dama z łasicą" wisi spokojnie w muzeum. A teraz prosimy o czytanie w dalszym ciągu odcinka „Świata zaginionego".

Te sceny i te wydarzenia wryły mi się w pamięć na zawsze.

Codziennie doznawaliśmy nowych wrażeń, choć nie szukaliśmy ich już, bo wszystkie siły były ciągle skierowane ku wydobyciu się z naszej pułapki. O jednym byliśmy w zupełności przekonani: Indianie nic uczynią nic, aby nam dopomóc. Są nam przyjaźni i niemal niewolniczo oddani, ale gdyśmy im proponowali, by nam pomogli przerzucić drewnianą kładkę przez przepaść, albo aby nam dostarczyli zwojów lian lub postronków skórzanych, którymi moglibyśmy przy zejściu się posłużyć — spotykaliśmy stanowczą choć dobroduszną odmowę. Uśmiechali się, mrużyli oczy i potrząsali przecząco głowami. Nawet stary wódz posługiwał się tą samą taktyką. Tylko ocalony przez nas syn wodza — Maretas — wytłumaczył nam gestami, że nic dla nas nie może uczynić. Od czasu zwycięstwa nad małpoludźmi rodacy jego uznają nas za półbogów, których niepojęta broń zapewniła im powodzenie i są przekonani, iż szczęście ich nie opuści dopóki my będziemy wśród nich. Ofiarowali też każdemu z nas drobną czerwonoskórą kobietę za żonę i piękną suchą jaskinię za mieszkanie, pod warunkiem, że zapomnimy o swoim kraju i pozostaniemy na zawsze tutaj.

Dotychczas nie mieliśmy z nimi żadnych zatargów, gdyż jesteśmy pewni, że gotowi są zatrzymać nas tu siłą.

Odwiedziłem w ciągu ostatnich trzech tygodni dwukrotnie nasz dawny obóz, aby zobaczyć się z Murzynem, który nie opuszczał swego posterunku w dolinie.

Powracając z drugiej takiej wycieczki, która na tyle się przeciągnęła, że spędziłem noc z dala od mych towarzyszy, miałem dziwne spotkanie. Idąc zwykłą, dobrze znaną drogą, zbliżyłem się do miejsca, oddalonego najwyżej o jakie dwie mile od trzęsawiska pterodaktylów i ujrzałem wtedy przed sobą jakąś niezwykłą postać. Był to człowiek okryty trzcinową ramą w kształcie dzwonu. Okrywała go ona ze wszystkich stron. Z niepomiernym zdumieniem poznałem w tym człowieku Roxtona. Spostrzegłszy mnie, wydobył się ze swej klatki i podszedł do mnie, śmiejąc się nie bez pewnego zakłopotania:

— Doprawdy, młodzieńcze — rzekł — nie spodziewałem się spotkać tutaj pana.

— Co pan tu robi, u diaska? — spytałem.

— Idę z wizytą do tych milusich pterodaktylów.

— Ale po co?

— Ciekawe stworzenia, nie sądzi pan? Tylko strasznie nietowarzyskie! O ile pan pamięta są dość nieuprzejme dla obcych. Toteż skonstruowałem ten przyrząd, aby się uchronić od zbyt natarczywej ich uwagi.

— Ale czego pan szuka w tym bagnie? — dopytywałem się.

Spojrzał na mnie bystro, a na twarzy jego wyczytałem wahanie.

— Czyżby ciekawość była wyłącznym przywilejem uczonych? — rzekł wreszcie. — Powinno panu wystarczyć, że studiuję obyczaje tych pięknych ptaszków.

— Bez urazy, milordzie — rzekłem.

Roześmiał się, odzyskując swój zwykły, dobry humor.

— Nie, nie, bez urazy, młodzieńcze. Chcę złapać jedno takie pisklę dla Challengera. Dziękuję panu za towarzystwo, ale nie mogę go przyjąć: jestem zupełnie bezpieczny w swojej klatce, a pan nie. Wrócę do obozu przed zachodem słońca.

Zawrócił i wszedł w las okryty swym osobliwym przyrządem.

Ale jeśli zachowanie Roxtona było dziwne, to zachowanie Challengera jeszcze dziwniejsze. Przede wszystkim muszę stwierdzić, że cieszył się niezwykłym powodzeniem wśród Indianek. Wskutek tego nie wypuszczał z dłoni starej gałęzi palmowej, którą się przed nimi oganiał.

Całe ranki spędzał na samotnych wycieczkach, z których powracał nastrojony uroczyście jak człowiek, który dźwiga na barkach ciężar ogromnej odpowiedzialności. Pewnego dnia zaprowadził nas do swej pracowni i wtajemniczył w swe plany.

Pracownią tą była polanka wśród palmowego gaju. Tryskał tu jeden z tych błotnistych gejzerów, jakie już poprzednio opisywałem. Naokoło leżały rozrzucone postronki, wykrojone ze skóry iguanodona i olbrzymi pęcherz, który był wysuszonym i oczyszczonym żołądkiem wielkiej wodnej jaszczurki. Pęcherz ten był zeszyty w kształcie worka i posiadał tylko jeden otwór, w który wpuszczone były wydrążone trzciny, tkwiące drugim końcem w błocie gejzera. Pęcherz w naszych oczach napełnił się gazem i począł unosić się z ziemi, tak, że Challenger musiał go przywiązać postronkami do drzew.

Challenger, jak uszczęśliwiony ojciec wobec swego pierworodnego, stał, głaszcząc brodę i patrząc w zachwyconym milczeniu na swoje dzieło. Summerlee odezwał się pierwszy:

— Nie ma pan chyba zamiaru, Challenger, wyekspediować nas stąd przy pomocy tego przyrządu? — zapytał lodowatym głosem.

— Mam zamiar, drogi kolego, zademonstrować wam mój wynalazek i jestem przekonany, że po tej demonstracji, żaden z was nie zawaha się odbyć w nim podróży.

— Niech pan to sobie wybije z głowy od razu i raz na zawsze — rzekł stanowczo Summerlee. — Nic mnie nie zmusi do popełnienia takiego szaleństwa. Milordzie, odwołuję się do pańskiego rozsądku i mam nadzieję, że nie będzie pan popierał podobnego pomysłu.

— Diabelnie sprytnie pomyślane — odparł Roxton — chciałbym to zobaczyć w ruchu.

— I zobaczy pan — rzekł Challenger. — Przez kilka dni wysilałem swój umysł nad sposobem wydobycia się stąd. Doszliśmy do przekonania, że nie możemy zejść po przepaścistych skałach i że nie ma tu żadnego tunelu. Nie ma też mowy o przerzuceniu jakiegokolwiek mostu na ową piramidę, z której przeszliśmy na płaskowzgórze. Cóż więc począć? Otóż zwróciłem niedawno uwagę na to, iż gaz lżejszy od powietrza wydziela się z tego gejzeru, co mnie oczywiście naprowadziło na myśl o balonie. Przyznaję, iż miałem nieco trudności z wyszukaniem odpowiedniej powłoki na zbiornik gazu, ale widok olbrzymich wnętrzności tych płazów rozstrzygnął i to zagadnienie. Otóż macie rezultaty!

(Dalszy ciąg nastąpi)

IRENA KRZYWICKA

LILKA

KIEDYŚ, na schodach, prowadzących do czyjegoś mieszkania spotkałam Marię Morską. Była to jedna z najbardziej niepospolitych kobiet, jakie znałam. Współuczestniczka Pikadora i częściowo jego muza, interesująca deklamatorka, która w zadymionej kawiarence recytowała bardzo sztucznie, ale bardzo indywidualnie wiersze młodych, podbijających Warszawę i Polskę, poetów. Zmarła niestety, zaraz po wojnie.

Spokałam ją wtedy na schodach, sfrunęła do mnie niejako z góry i stanęła niemal w pół stopnia, patrząc mi w oczy swoim morskim spojrzeniem, jakby właśnie tu spodziewała się mnie zastać i zapytała od razu:

— Czytałaś ostatni wiersz Lilki?

Morska miała rzadki u kobiet zwyczaj nie mówienia o byle czym. Albo miała coś istotnego do powiedzenia i tak było zazwyczaj, albo umiała pięknie milczeć. I teraz, bez zbędnych słów zaczęła od razu, półgłosem recytować:

„Rudą nocą, pod mostem, w Sekwanie
Płynie kotka, przemokła i sina.
Pod następnym mostem, niespodzianie
Przyłączyła się do niej dziewczyna...“

Zdławiła nas za gardło przejmująca piękność tego wiersza i jego przeraźliwa treść. Stojąc na schodach, milczałyśmy długo. Wreszcie Morska powiedziała:

— To największa polska poetka i jeden z największych poetów, chociaż rodzaj męski zupełnie do niej nie pasuje. To esencja kobiecości. Chcesz ją poznać? Przyprowadzę ci Lilkę, będzie niedługo w Warszawie.

Maria z Kossaków Pawlikowska, zwana przez bliskich Lilką, była podówczas stosunkowo mało znana i nie miała jeszcze tej rangi pisarskiej, którą jej tak słusznie przyznawała wówczas Morska i która jej się bezsprzecznie należy.

Nawiasem — bo póki nie wyleję żółci trudno mi pisać dalej — jak to można było dopuścić do tego, aby tej miary artystka stała się zupełnie nieznana, żeby młodzież zwłaszcza, nie miała o jej istnieniu najmniejszego pojęcia. Czyż aż tak jesteśmy zasobni w skarby kultury, że możemy pomijać jedno z najpiękniejszych i najosobliwszych zjawisk w naszej literaturze, poetkę, o której Żeromski mówił i pisał z najczulszą uwagą, którą najwybitniejsi nasi poeci stawiali obok siebie. Poetkę, która łączy rzadkie mistrzostwo wiersza z najcelniejszym dowcipem, która doprowadziła do doskonałości rzadką zaletę mistrzów, nie często zresztą spotykaną w naszej literaturze — zwięzłość, u której chwyta za serce zarówno pełne serdecznej troski zamyślenie nad człowiekiem, jak nieporównane znawstwo świata zwierząt i roślin. Jakże się to stało i kto ponosi za to odpowiedzialność. Wyszedł co prawda chyba rok temu (dopiero!) skąpy wybór jej wierszy, drukowany ohydnie, bez tego szacunku dla wiersza, który każe każdemu z nich poświęcić osobną stronę. Ukazał się i natychmiast zniknął, no bo czytelnicy mają nosa i zwąchają co dobre. Teraz zapowiedziany jest znowu wybór, ale dlaczego wybór, dlaczego nie wszystko? Że pierwsze wiersze Pawlikowskiej to salonowe błahostki? Ale i w nich jest niedościgły kunszt, a zresztą czemu nie pokazać czytelnikowi jak pogłębiała się i poważniała twórczość poetki.

Ale wróćmy do wspomnień. Tak tedy zjawił się pewnego dnia w moim mieszkaniu uroczy gość. Osobliwym zjawiskiem była poetka. Drobna i ułomna. Teraz przypuszczam, że musiała w dzieciństwie przechodzić chorobę Heine-Medina. Było niezrozumiałe, czemu w całej dorodnej rodzinie ona jedna miałaby mieć skazy cielesne. A były bardzo poważne: jedna noga krótsza, klatka piersiowa skrzywiona, ramię ułomne. Czy to w czymkolwiek umniejszało jej urok? Ani trochę. I to mówię o uroku czysto fizycznym. Dowodem tego — trzech mężów i wielu zakochanych. Prawdziwe zwycięstwo ducha nad ciałem, bo dusza tak ją ozdabiała.

Nad ułomną figurką, kunsztownie ukrytą pod różnymi fałdkami, falbankami, szalikami wznosiła się urocza główka, o delikatnie wygrawerowanych rysach. Twarzyczka Lilki nasuwała dziecinne, czarodziejskie skojarzenia. To była twarz wróżki, cała z płatków różanych, pyłków kwietnych, przelotnych cieni i łagodnych świateł. Nosek leciutko zaostrzony, różowawy i przeźroczysty jak muszla, usta wrażliwe, małe, zmienne, czasem żałosne, czasem drwiące. Nie tylko ta twarz decydowała o uroku Lilki, ale przede wszystkim wdzięk nieodparty stokroć ważniejszy od urody. Wdzięk w każdym ruchu, słowie, uśmiechu, nikt mu się nie mógł oprzeć.

Kiedy ją wspominam, wciąż mi się pchają na usta słowa: wróżka, czarodziejka, Tytania. Płynie to chyba stąd, że nie było w niej absolutnie nic prozaicznego. Nawet w najbardziej pospolitych warunkach poezja szemrała koło niej nieustannie, jak blisko płynący, ciągle żywy strumyczek. Nie, źle to określam. To była nieustanna sekrecja poezji, wydzielanie wewnętrzne i rozpylanie bezustanne poprzez słowa. Cóż dziwnego, że powstawała koło tej kobiety czarodziejska atmosfera. Był to zresztą najczęściej żart, jakieś nieoczekiwane zestawienie słów, coś co ją samą pobudzało do częstego, cichego śmieszku i łyśnięcia w bok, do rozmówcy ubawionym spojrzeniem oczu, o ciężkich, melancholijnych zazwyczaj powiekach.

Z Lilką niepodobna było prowadzić zwykłej rozmowy: o zakupach, o polityce, o znajomych, o książkach, a raczej, jeżeli się o takie tematy potrąciło, to i tak nie wynikała z tego „rozsądna“ odpowiedź, tylko słowna, albo obrazowa niespodzianka, jakieś skojarzenie, które od razu odrywało temat od powszedniej pospolitości. Ale Lilka mówiła zazwyczaj na swoje własne tematy, których esencję doprowadzoną już na piśmie do ostatecznych granic zwięzłości, przelewała potem w wiersze. Trzeba znać te wiersze, aby zrozumieć, o czym mogła mówić, bo proces tworzenia trwał dla niej niemal ciągle.

Lubiła siadać, wtulona w kącik tapczanu i gryźć coś namiętnie ptasim, albo wiewiórczym sposobem: najchętniej pestki, albo bób gotowany, mocno posolony, czy też orzechy. Mięsa nie jadała nigdy i przepyszny jej wiersz „O mięsożercach“ był wyrazem prawdziwego wstrętu. Siedziała, jak urocze zwierzątko w norce, gryzła coś, gryzła prędziutko podśmiechując się krótkim, gardłowym śmieszkiem, nieco ptasim. Mogła opowiadać długo i uroczo o wiewiórce, albo mieniącymi się słowami malować motyla, czy liść, albo pochylonego na ulicy staruszka.

A obok poezji, nierozdzielnie z nią związany, tryskał wesoły promyk dowcipu, bo Lilka była osobą niezwykłego, wysokiej klasy dowcipu. Sama śmiała się cichutko ze swoich nieoczekiwanych skojarzeń, skrótów i zagęszczeń i sypała urocznymi słowami, nie wymawiając litery r. Otaczała jakąś hipnotyczną mgiełką swego rozmówcę, który natychmiast podpadał pod jej władzę i zaczynały go od razu bardzo nudzić jego własne, osobiste sprawy, kłopoty, radości, tak prostackie, grube, nieporadne w tym świecie ze snu nocy letniej. Tym czarom przypisuję, że Lilka, mimo swej ułomności tak bardzo była przez mężczyzn kochana.

Odwiedziłam ją kiedyś w rodzicielskiej Kossakówce w Krakowie. Najpierw przyjęła mnie w salonie bardzo uprzejma i dystyngowana pani Kossakowa, po tym błysnął przez chwilę piękny, dorodny, siwy, jakby na przekorę młodzieńczej postaci Wojciech Kossak, wreszcie służący poprosił mnie na górę do pani Jasnorzewskiej. Lilka podówczas wyszła po raz trzeci za mąż za młodziutkiego lotnika i poczęła się podpisywać jego nazwiskiem, czego żadną miarą nie można było uznać za słuszne, była już bowiem sławna, jako Pawlikowska, no i pisarz powinien trzymać się swego nazwiska, utrwalonego w literaturze, a nie uzależniać go od prywatnych spraw. Ale zdaje się, urzekła ją zaranna jasność nazwiska — w świecie wróżek takie rzeczy mają znaczenie. Może też chciała, aby na chłopca, który mimo różnicy lat, dał jej wielką miłość, spłynęła bodaj cząstka jej rozgłosu.

Tak tedy po splendorach dostojnego parteru Kossaków zostałam wprowadzona na pierwsze piętro, do pokoju poetki. Widoku, jaki tam zastałam nigdy nie zapomnę. Pokój był bardzo duży, panował w nim niezwykły nieład. Na pięknym stole, pośrodku, stała maszynka spirytusowa, leżały używane pończochy, stało jakieś jedzenie i walęsały się różne, nie sprecyzowane bliżej części ubrania. Na obszernym łóżku, na poduszce i pod kołdrą leżała Lilka w futrze — tak jest, pod kołdrą, w futrze — a przy klapie miała przypięty olbrzymi pęk wspaniałych, parmeńskich fiołków. Co chwila pochylała starannie uczesaną głowę, bo bynajmniej nie była zaniedbana koło siebie i swoim finezyjnym noskiem muskała kwiaty.

Po pokoju krzątał się młodziutki mąż, przyrządzał kawę, nakrywał, podawał. Kiedy się spoglądało na tę parę, było zupełnie jasne, że to właśnie chłopięcy Lotek, jak go nazywała żona (że lata — lotnik) jest śmiertelnie zakochany i było to zupełnie naturalne. Są ludzie nad którymi lata nie mają władzy, no i jakżeby można Lilki nie kochać. Przyjmowała objawy jego czułości i dbałości z uroczym, nieco roztargnionym uśmiechem — była do nich przyzwyczajona. Biedny Lotek nie umiał utrzymać porządku w pokoju, ale umiał dbać o ukochaną kobietę. Daleko mu było do wyrafinowanego intelektualizmu, ale na wartości i na niezwykłych wymiarach duchowych Lilki poznał się z nieomylnym węchem natur prostych, szczerych i wybrednych. Jego miłość nie zachwiała się do końca. Kiedy poetka umierała w czasie wojny, w Londynie, umierała ciężko, boleśnie na raka, nie odstąpił jej i słodko musiało być Lilce czuć wśród powszechnej zgrozy, której dała wyraz w ostatnich swoich utworach i wśród własnej zgrozy przed nadchodzącą ciemnością, jego przywiązanie i widzieć, jak się pochyla nad nią jego ładna, młodzieńcza twarz.

Ta poetka, która dotychczasową swoją niełaskę kulturalnych „czynników“ zawdzięczała rzekomemu oderwaniu się od życia i brakowi „wydźwięku“ w poezji, bynajmniej nie była obojętna na sprawy społeczne, na przemiany polityczne. Nie należała do natur walczących. Zbyt była krucha i delikatna, ale zaznaczała wyraźnie swoje stanowisko, stanąwszy w okresie międzywojennym wyraźnie wśród grupy postępowych pisarzy, odcięła się zdecydowanie od prawicy (choćby wiersz: „Prawy poszedł na prawo — nieprawy na lewo — więc go teraz prowadzą pod wisielcze drzewo“). Na emigracji, już chora, nie stanęła nigdy po stronie tych, którzy zaparli się swego Kraju. Przed śmiercią szepnęła Antoniemu Słonimskiemu, z którym łączyła ją serdeczna przyjaźń: „Powiedz im Tam... że jestem z nimi“.

Już najwyższy czas, aby była z nami naprawdę, zawsze obecna w swoich wierszach.

IRENA KRZYWICKA

Maria Jasnorzewska-Pawlikowska

CZTERY POCAŁUNKI

WIELKI WÓZ

Wędrujemy cygańskim obozem,
nocujemy w gwiaździstej grozie,
dzisiaj pod Wielkim Wozem,
jutro na Wielkim Wozie...

LA PRECIEUSE

Widzę cię w futro wtuloną,
wahającą się nad małą kałużą,
z chińskim pieskiem pod pachą, z parasolem i różą...
I jakże ty zrobisz krok w nieskończoność?

FOTOGRAFIA

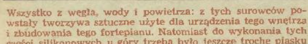
Gdy się miało szczęście, które się nie trafia:
czyjeś ciało i ziemię całą,
a zostanie tylko fotografia,
to — to jest bardzo mało...

SŁOWIKI

Słowiki są dziś nieswoje.
Bzy są jak chmury krzyżyków.
Chcesz zabić serce moje?
Przecież się nie zabija słowików?

OLGIERD BUDREWICZ

PLASTYCZNY SZLAGIER



Wszystko z węgla, wody i powietrza: z tych surowców powstały tworzywa sztuczne użyte dla urządzenia tego wnętrza i zbudowania tego fortepianu. Natomiast do wykonania tych części silikonowych u góry trzeba było jeszcze trochę piasku

OSTATNIĄ CZAROWNICĘ spalono w 1782 roku. Dobrze, że chemicy a zwłaszcza specjaliści od tworzyw sztucznych odczekali ze swymi praktykami te dwieście lat.

Zaglądamy w epokę

Mój Boże, są w naszym kraju reporterzy, którzy w 1955 roku odkrywają Amerykę — niech innym będzie wolno zauważyć fakt nastania nowej epoki chemicznych czarów. Zresztą gwoli prawdzie i na usprawiedliwienie reportera — te rzeczy jeszcze nie tak łatwo w Polsce zauważyć. Trzeba bardzo wytężać wzrok. W tym celu reporter musi się udać do Instytutu Tworzyw Sztucznych w Warszawie. Żeby chociaż zerknąć w epokę.

Widok z dziesięciu pięter...

...jest rozległy. Fachowcy z Instytutu Tworzyw Sztucznych, urzędują w dziesięciopiętrowym wieżowcu w Warszawie. Stąd dostrzegają oni, że światowa produkcja mas plastycznych wyniosła w ostatnim roku bardzo dużo, bo około 2 milionów ton. Że w obu głównych grupach — mas termoutwardzalnych i termoplastycznych — pojawiły się nowe niezwykłe materiały. Np. rewelacyjny polietylen, blisko trzykrotnie lżejszy od szkła, elastyczny, zbliżony fakturą do gutaperki. Albo polimetakrylan metylu, stosowany do wyrobu protez i zębów.

Dlaczego tak mało?

Tylko 7 tysięcy ton mas plastycznych wyprodukowano w tym roku w Polsce. Podstawowego surowca, węgla, nie brakuje u nas. Nasze zasoby węgla obliczane są na 70 miliardów ton. Brakowało natomiast przemysłu chemicznego, który na wielką skalę potrafiłby surowiec ten przeistoczyć w półfabrykat. („W dziedzinie tej nasz przemysł jest szczególnie zacofany" — stwierdził na ogólnokrajowej naradzie przemysłowych instytutów naukowo-badawczych zastępca przewodniczącego PKPG, Mieczysław Lesz).

Nie jest dobrze — będzie lepiej. Wkrótce w Dworach ruszy produkcja polichlorku winylu. W pełnym toku znajduje się rozbudowa fabryk fenolu syntetycznego, mocznika, formaliny. Oświęcim rozpoczął już wyrób karbidu i przygotowuje się do produkcji acetylenu i etylenu. To są właśnie produkty wyjściowe. Cierpliwości więc. Będą i masy plastyczne.

Masa to jest masa

Jak sama nazwa wskazuje. Można ją ogrzewać, topić, w stanie półpłynnym prasować pod wysokim ciśnieniem. Potem zastyga i staje się tym, o co nam chodzi. Dotąd byliśmy przyzwyczajeni, że materiały formowało się przez drogą i trudną obróbkę skrawaniem — teraz przestawiamy się na skrajnie inną metodę. Niektórzy nazywają to rewolucją przemysłową.

Wszystko i nic

W s z y s t k o z mas plastycznych można robić. N i c z tego jak się je robi — nie można zrozumieć. Chyba, że się uprzednio połknęło odpowiednią dawkę chemicznych tajemnic. Ale nawet powierzchowne oględziny warsztatów tego Instytutu pozwalają stwierdzić ogromną skalę i znaczenie tych prac. Sto lat zaledwie minęło od momentu, kiedy Hyatt wynalazł c e l u l o i d i zastąpił nim... kość słoniową do produkcji kul bilardowych. Pół wieku liczy sobie g a l a l i t, dziecko kazeiny czyli... sera. Jeszcze młodszy jest b a k e l i t, pierwsza całkowicie sztuczna masa plastyczna. Wszystko to jednak należy już do historii, a współczesna chemia powołała do istnienia nowe materiały, niezwykle tanie, elastyczne, produkowane szybko, z łatwo dostępnych surowców. I co najważniejsze: materiały o właściwościach, popychających naprzód postęp techniczny: p o l i s t y r e n (do wyrobu galanterii i izolatorów elektrycznych), p o l i c h l o r e k w i n y l u w postaci tzw. igielitu (można z niego robić elastyczne peleryny) lub winiduru (stosowanego zamiast drogich stopów metali), p o l i e t y l e n i wreszcie włókno sztuczne, czyli nylon, steelon, orlon, terylen itp. Wszystko to są związki węgla. Natomiast nowa rewelacja: silikony, zawdzięczają swe nadzwyczajne właściwości krzemowi, temu z zwykłego piasku. Silikony cechuje n i e z w y k ł a odporność na temperaturę i absolutna niewrażliwość na wilgoć, a nawet „odpychanie" wilgoci.

Proszę patrzeć i podziwiać

Oto winidur w postaci sztywnej na płyty i pręty, lub miękkiej. Winidur konkuruje z powodzeniem z kosztownym ołowiem, wypiera go z przemysłu włókienniczego, z przewodów wentylacyjnych, z przemysłu poligraficznego. (Do druku „Przyjaciółki" używane są matryce z twardego winiduru). A oto koszyczek do łożyska tocznego w maszynach włókienniczych — dotąd robiono go z mosiądzu (2 zł za sztukę), teraz wykonuje się ze steelonu (10 groszy). A

PATRZ STRONA 14-TA

ANDRZEJ PRONASZKO

OPOWIADANIE

W I Z Y T A

PRACOWNIA malarza. Południe. Rozlega się dzwonek u drzwi w przedpokoju. Malarz rzuca pędzle na stół, przeczesuje palcami zmierzwione włosy, przygładza „wicher", jaki mu się utworzył na czubku głowy i otwiera drzwi.

Wchodzi Profesor. Profesor ma spodnie w kratkę, czarny żakiet, białą kamizelkę, słomkowy kapelusz na głowie, żółte półbuciki na nogach, a w ręku trzyma piękny, nowy parasol.

Malarz wita Profesora entuzjastycznie, odbiera parasol i kapelusz, zawiesza je na wieszaku, odczyszcza mu zakurzony żakiet i podczas tej czynności, z różnych stron oglądając Profesora, nie może oprzeć się wrażeniu, że Profesor jakby urósł, że znacznie jest wyższy niż był wczoraj, niż jest zazwyczaj. — Cóż za diabeł?!... myśli malarz i sądząc, że rzecz wyjaśni się kiedy sprawdzi wysokość profesorskich obcasów, pochyla się i, odpyla buciki Profesora własną chusteczką do nosa. Na szczęście chusteczka dawno powinna była już iść do brudów. Co do obcasów — okazują się one wyjątkowo niskie, niższe niż te, jakie Profesor zazwyczaj nosi.— A więc złudzenie optyczne — myśli malarz i wprowadza Profesora do pracowni.

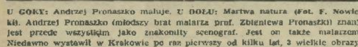
W pracowni wszystko jest przygotowane do pozowania. Na sztaludze stoi duże płótno, napięte na blejtram, jak skóra na bębnie. Płótno świeci nieskazitelną bielą gruntu, robionego na gipsie alabastrowym. Jest ono gładkie, ale o nikłym połysku, jak płaszczyzny fresków w Pompei. Na stoliczku, obok stalug, leży wielka paleta, jarząca się wszystkimi kolorami tęczy, wyprodukowanej przez firmę Lefranka i Spółki. Tuż przy niej czekają swojej chwili doskonale umyte pędzle, rozmaitych wymiarów ze wspaniałej, elastycznej szczeci.

Pracownia przepojona jest zapachem oleju lnianego, werniksu mastiksowego, czarnej kawy świeżo widać mielonej i dymu tytoniowego. Do tych zapachów dołącza się jeszcze zapach Muz, które spłynęły do pracowni wraz z muzyką, dolatującą z sąsiednich mieszkań. Gra jednocześnie odbiornik radiowy, fortepian, trąba i flet. Na dole ktoś śpiewa, na górze ktoś tańczy, obok ktoś deklamuje wiersz. Przybosia. Muzy pachną oszałamiająco, wydzielając zapach tuberoz, które stoją właśnie w wazonie, na półce, pośród połyskujących tajemniczo tubek farb.

Malarz jest niezwykle podekscytowany. Zawsze z nim tak bywa — przy zetknięciu się z wszystkimi Muzami naraz. Stara się jednak ukryć przed Profesorem swój stan podniecenia i ustawia go w środku pracowni, na podium, tuż pod wiszącą lampą, opatrzoną wielkim blaszanym abażurem. Profesor wydaje się być całkowicie zadowolonym z wybranego przez malarza miejsca. Uśmiecha się pogodnie, rozpina żakiet, następnie zapina, wyjmuje w końcu z kieszeni żakietu mały notesik i zmienia okulary w czarnej oprawie, na inne, w oprawie białej.

Malarz staje przy staludze, bierze węgiel, przymruża powieki i wbija w Profesora wzrok ostry jak szpilka od damskiego kapelusza. Profesor wydaje mu się teraz niższy od tego, jakim wydał mu się w przedpokoju. — Podlegam dzisiaj dziwnym halucynacjom wzrokowym — myśli malarz i robi wstępną krechę na płótnie.

PROFESOR: *(mówi zaglądając do notesu)* Fakt niezwykle interesujący, a mało znany, który na pewno został przez pana, drogi mistrzu, przeoczony. W naszych działaniach duchowych posuwamy się po linii krzywej... Mała dygresja: wstępując na tę krzywą — nie wiemy nic o sobie. Wracając po długiej wędrówce do punktu wyjścia, do nicości z której poczęliśmy się — również nic o sobie nie wiemy. Będąc jednak u kresu naszej drogi jesteśmy nieco mądrzejsi niż na jej początku. Zdobywamy bowiem głębokie przeświadczenia, że nie spełniliśmy naszego zadania. Jakiego? O tym jeszcze pomówimy... Ale gdyby kogo stać było na rozpoczęcie wędrówki na nowo, to... Ba!... Czy wielu jest takich, którym by się taka rzecz udała?!! W następnych reinkarnacjach...



U GÓRY: Andrzej Pronaszko maluje. U DOŁU: Martwa natura (Fot. F. Nowicki). Andrzej Pronaszko (młodszy brat malarza prof. Zbigniewa Pronaszki) znany jest przede wszystkim jako znakomity scenograf. Jest on także malarzem. Niedawno wystawił w Krakowie po raz pierwszy od kilku lat, 3 wielkie obrazy.

Malarz, zajęty rysowaniem, któremu oddaje się z całym temperamentem młodości, częściowo tylko chwyta sens przemówienia Profesora. Chcąc być jednak uprzejmym, wykrzykuje co jakiś czas: Ho-Ho!... No, No!... Kto wie, zupełnie możliwe!... Przedziwne!...

Szkic w węglu jest gotowy. Malarz bierze mały rozpylacz doustny, buteleczkę z fiksatywą i utrwala rysunek. Następnie chwyta pędzle, macza jeden z nich w spoiwie, rozciera kilka barw, łączy je ze sobą, dodaje trochę bieli, uderza pędzlem o płótno, odskakuje, bada wynik i natychmiast powraca do płótna. Pędzle zaczynają teraz migać jak skrzydła samolotu w pełnym locie. Malarza ogarnia coraz gwałtowniejsze natchnienie. Tak świetnie jak dziś — nigdy mu się jeszcze nie malowało. Podczas tego Profesor improwizuje, posługując się nieodstępnym notesem.

PROFESOR: Konformizm!... Zgodna wędrówka całego szeregu pokoleń po tej samej ścieżce! Powodując się sennością i bezwładem intelektu, wykazując tępą uległość wobec każdego zła, do którego przez bierność ducha, zdołano się już przyzwyczaić. W trosce aby się nie zbić z drogi, wyznaczonej prawem inercji wymierza się tak swoje kroki, aby stopy dziś idących, dokładnie przylegały do śladów stóp cudzych. Jeżeli nasze stopy są za duże, przykrawa się je do normy ustalonej przez poprzedników. Pytanie — jak mają postąpić ci, którzy powróciwszy na krzywą po raz któryś, odkryli, że taki stan rzeczy jest nie do przyjęcia, gdyż tamuje postęp. Ha!... Cóż?... Bunt?... — Oczywiście!... Rewolucja?—Naturalnie!... Trzęsienie ziemi? — Proszę bardzo!... Dalszym etapem byłoby zejście z tej przeklętej krzywej. Zwracam uwagę, że mówię wyłącznie o sztuce, zakładając, że jest ona jedną z przyczyn, jednym z bodźców rozwojowego procesu człowieka, a nie tylko jego dodatkiem czy ukoronowaniem. Herezja? Proszę! Niech stanie przede mną ten, kto mi zaprzeczy! Na szczęście jestem tu sam... Malarz się nie liczy. Poza tym nie mylę się chyba sądząc, że bunt w każdym wypadku, jest przejawem odkrywczości i żywym, drapieżnym, krytycznym spojrzeniem na rzeczywistość. Odsłania on zarówno zło jak i dobro *(czyta)*. Zwalczać przesądy, odkrywać przedmiot w innym aspekcie od narzuconej sztampy, odkrywać rdzeń rzeczy, odsłaniać związki pomiędzy rozbieżnościami, podnosić wzniosłe, które wdeptano w pospolitość, podczas stadnego marszu istot, żądnych jedynie pokarmu dla ciała, ustawić na wysokim piedestale odkryte cele istotne oraz *(zamyka notes)* śmiało, twardo dobijać się o ich spełnienie, walcząc, chociażby na noże z rozpanoszonym głupstwem, oto zadanie sztuki! Niemrawość... brak inicjatywy twórczej... imitacja przedmiotu, który nie może być obiektywny w zetknięciu się z naszą świadomością artystyczną...

Podczas ostatnich słów Profesora, malarz odsuwa nagle stalugę, tak, że Profesor może obejrzeć swój portret. Staje się widocznym, że portret wywarł na Profesorze piorunujące wrażenie. Profesor chowa swój notes, zmienia okulary i bardzo niespokojnie zaczyna się wokół siebie rozglądać. Podczas tego malarz wykonuje ręką wytworny gest i schyla się przed Profesorem w głębokim ukłonie.

— Profesorze — mówi — portret jest gotowy.

Nie słysząc odpowiedzi, malarz podnosi głowę i spostrzega, że Profesor znikł mu nagle sprzed oczu. Nagłe, bezgłośne, bezszelestne zniknięcie Profesora jest dla malarza wprost nie do pojęcia. Malarz więc, sądząc, że ulega jakiemuś nowemu optycznemu złudzeniu, przeszukuje pracownię, zagląda do szaf ściennych z obrazami, przewraca podium, opukuje podłogę, a nawet podnosi wieko skrzyni, w której trzyma różne malarskie rekwizyty. Ale Profesora nigdzie nie ma.

Z przedpokoju natomiast odzywa się alarmujący sygnał telefonu zamiejscowego. Malarz wybiega z pracowni, podnosi słuchawkę, przytyka ją do ucha i widzi jednocześnie, pełen zdumienia, że z wieszaka znikł kapelusz i parasol Profesora.

MALARZ: *(przy telefonie)* Tak, to ja! Co?... Słucham?... Kto mówi?... Kto?... Aha! Zakopane!... Kto przy telefonie?... Kto?... Jakto?! Profesor?!... Jakim cudem?!... Nic nie rozumiem!... . Przecież przed chwilą był pan u mnie!... Co?... Hallo!... Hallo!... Psiakrew!... Rozłączyli!... Co za idiotyczna historia!...

Malarz odkłada słuchawkę i wraca do pracowni. Kiedy znalazł się w jej drzwiach, ogarnia go ponowne zdumienie. Z portretu Profesora, fotograficznie podobnego, nie ma ani śladu. Natomiast płótno zapełnione jest jakimś tekstem, pięknie graficznie wykonanym.

TEKST

1) Czcij obiektywną rzeczywistość, ale wiedz, że twoja własna, o ile ją posiadasz, jest nie do zastąpienia.
2) Szukaj prawdy myśląc formą i kolorem.
3) Przedmiot woła do ciebie: Podmiocie! Poznaj samego siebie, a poznasz wtedy i mnie!
4) Nie kradnij: ani formy, ani koloru, ani treści, ani tematu, ani konstrukcji, ani całości, ani cząstki z cudzej rzeczywistości, bo zamkniesz drzwi do poznania własnej.
5) Bądź jak słońce: świeć i nie dziw się, że współobywatele oglądać cię będą przez czarne okulary.
6) Pamiętaj, że pracujesz w blaskach sztuki: nie bój się własnego cienia.
7) Nie śpiesz się! Owoc musi mieć czas aby dojrzeć.
8) Bądź jak ziemia: Odwróć się od słońca w swoim czasie, odpocznij i z powrotem nastaw się na słońce.
9) Żyj higienicznie. Umysł swój oczyszczaj z głupstwa tak, jak czyścisz to z butami, kiedy się zakurzą.
10) Twórz szczegół poprzez całość, a nie całość poprzez szczegół.
11) Nie rozstawaj się nigdy z termometrem. Pamiętaj, że kolor powinien mieć właściwą sobie temperaturę.
12) Pa!... Pa!... Pa!...

Malarz przeczytał tekst kilka razy i skontrolował dokładnie, czy podczas malowania nie opuścił jakiej litery, lub nie popełnił zbyt widocznego błędu ortograficznego. Że tekst sam namalował — nie ulegało żadnej wątpliwości. Litery były w jego stylu i, mimo wszystko co dało by się powiedzieć na temat każdej z liter poszczególnie, wszystkie odznaczały się specyficznym kształtem, cechującym jego twórczą indywidualność. Nie mógł tylko pojąć w jaki sposób, malując Profesora, wymalował zamiast niego tekst, zupełnie sobie obcy. Zagadki tej nie mógł rozwiązać i z tego może powodu, że tekst bardzo dla niego zawiły, trudny do zrozumienia, ale niezwykle fascynujący przykuł do siebie całą jego uwagę. Ostatnie zwłaszcza słowo, powtórzone kilkakrotnie, a mianowicie: „Pa!... Pa!... Pa!..." — najbardziej malarza zafrapowało. Kiedy zamyślił się głęboko nad jego znaczeniem, stalugi nagle zadrgały, płótno zafalowało i, wraz z blejtramem, zaczęło kurczyć się z nieprawdopodobną szybkością, aż w końcu, zmalało do wymiarów zwykłej pocztówki.

Nagły proces przeobrażania się tablicy graficznej w małą kartkę pocztową był tak dziwny, niezwykły i, tym samym, przerażający, że malarz poczuł jak przez krzyż przebiega mu dreszcz, nie wróżący nic dobrego, jak nogi mu słabną, ciało omdlewa i pokrywa się zimnym potem. Nie mógł się też zorientować, czy on sam, we własnej osobie, traci równowagę, czy też podłoga pracowni chwieje się pod jego stopami, przybierając coraz gwałtowniej, pozycję pionową. Dalsze utrzymanie się na stromej pochyłości podłogi, którą wyfroterował nieopatrznie na przyjście Profesora, było niemożliwością, chociażby okazało się ono jedynie

PATRZ STRONA 14-TA



SPORT



Mówi Edward Kocząb
bramkarz hokejowy, mistrz sportu

— Czy pan prowadzi statystykę spotkań hokejowych, w których pan brał udział? — zapytuję naszego znanego hokeistę Koczęba.

— Początkowo zapisywałem sobie różne dane z moich meczów. Niestety wkrótce się zagubiłem. Tyle się gra i gra. W samych tylko spotkaniach międzynarodowych grałem w bramce jakieś 30 razy. Spotkań krajowych jużbym nie zliczył. Bramkarzem hokejowym jestem już przecież osiem lat.

— A które spotkania najbardziej panu utkwiły w pamięci?

— Oczywiście nasz turniej o mistrzostwo świata w Krefeld ubiegłej zimy. Mieliśmy tam siedem spotkań. Zajęliśmy siódme miejsce i to tylko gorszym stosunkiem bramek. Punktów uzyskaliśmy tyle samo, co zdobywca miejsca szóstego. Wiadomo, jakie to potęgi hokejowe mają decydujący głos: ZSRR, Kanada, Czechosłowacja. Wierzę jednak i w nasz hokej i nie wątpię, że w przyszłości zdobywać będziemy lepsze lokaty, nawet w walce z najlepszymi.

— Czy pan zawsze grał tylko w bramce?

— Uprawianie sportu zacząłem do tenisa. Byłem wówczas sprzedawcą księgarskim w Krynicy. (Mój ojciec jest pracownikiem administracyjnym w zarządzie tego uzdrowiska). O hokeju mi się nie śniło, jak w ogóle o tak zwanej „karierze“ zawodnika. Grywałem, ot, tak dla przyjemności i wcale do rewelacyjnych wyników nie doszedłem. Potem zacząłem grać trochę w hokeja, najpierw w ataku, a dopiero po roku w bramce. Uważam, że mój tenis bardzo mi się przydał i zalecam go teraz każdemu bramkarzowi hokejowemu.

— Na czym polega to powiązanie tenisa z hokejem?

— Tenis wyrabia znakomicie to, co nazywamy szybkim refleksem: błyskawiczną reakcję na najszybszy nawet ruch. Dobry bramkarz hokejowy musi mieć ten refleks rozwinięty w takim stopniu, żeby niemal przewidywał co się stanie przy jego bramce w najbliższej jednej dziesiątej części sekundy. Trzeba nieraz wprost uprzedzić przeciwnika, przewidzieć jego ruchy i zamiary.

— Czy w księgarstwie pracuje pan nadal?

— Nie, niestety porzuciłem ten zawód, aczkolwiek jestem nadal bardzo przywiązany do książki. Do dobrej książki. Obecnie jestem instruktorem gry w hokeja. Uczę młodych i ambicją moją jest wychować dla naszej reprezentacji Polski nowych dobrych bramkarzy.

— Szkoda, że syn pana nie jest starszy — mógłby pan jego mianować swoim następcą!

— Rzeczywiście, nie pomyślałem o nim. Trudno jednak robić takie plany, skoro mój syn ma dopiero.... cztery miesiące.

— A córeczka?

— Dwa latka.

— Tak. Są nawet za małe, żeby przyjść na mecz hokejowy i podziwiać grę swego taty.

— Na mecze w których gram, nie przychodzi nawet moja żona, mimo tego, że bardzo lubi hokeja. Żona mówi, że nie może patrzeć spokojnie, gdy stoję w bramce, a we mnie strzelają krążkiem hokejowym. Zawsze jej się zdaje, że mi krążek rozbije nos lub oko.

— A na innym meczu, gdy w bramce stoi inny bramkarz, czy pana żonie nie przychodzi to na myśl?

— Widocznie nie. Widzi pan, jakie są kobiety!

Rozmawiał i fotografował
S T. W R O T N Y

WIZYTA

DOKOŃCZENIE ZE STRONY 13-tej

złudą, wywołaną straszliwym zawrotem głowy.

Malarz poddał się więc przeznaczeniu, rozkrzyżował ramiona i runął bezwładnie w przepaść bez dna. Podczas upadku wydarł mu się z gardła straszliwy ryk zgrozy. Ten ryk, jak później sobie uprzytomnił, powrócił mu świadomość.

Poczuł że żyje, że nic mu się nie stało. Wtedy rozwarł ostrożnie powieki i spostrzegł, że leży na swoim tapczanie z poduszką na głowie i kołdrą zsuniętą na ziemię. Resztki snu pierzchały powoli. Przetarł więc oczy i zauważył w lewej dłoni małą ćwiartkę papieru.

Była to zwykła kartka pocztowa. Profesor, nie mogąc stawić się w pracowni, gdyż został wezwany nagle do Zakopanego, wypisał na niej swoje wskazania o sztuce.

Malarz poprawił włosy, przygładził „wicher“, jaki mu się utworzył na czubku głowy i widząc na stoliku, stojącym obok tapczana, niedopitą butelkę wódki, wypróżnił jej zawartość, po czym, pokrzepiony na duchu, przeczytał na świeżo kartkę Profesora.

Tekst tym razem przedstawił mu się na tyle jasno, że z wielką ulgą spojrzał na czyste, niezamalowane płótno, czekające na portret Profesora. Po czym — czując się nerwowo bardzo wyczerpanym — poprawił poduszkę, nakrył się kołdrą i zapadł w głęboki sen.

Andrzej Pronaszko

PLASTYCZNY SZLAGIER

DOKOŃCZENIE ZE STRONY 12-TEJ

oto maszyna, która nazywa się wtryskarką; proszę, z tej strony wsypuje się proszek steelonu lub octanu celulozy, a z tamtej strony wypada gotowa oprawka do okularów...

Szkło nie jest szkłem

Włókno szklane jest elastyczne, miękkie. A kiedy włókno to związać specjalną żywicą z masy plastycznej, tzw. żywicą poliestrową — szkło przestaje być szkłem zupełnie. Staje się natomiast laminatem, czyli płatem materiału, z którego robi się części do samolotów, karoserie do samochodów, łodzie wyścigowe i jachty. Po Warszawie krąży już jeden skuter obudowany próbnie laminatem: jego karoseria waży 20 kg, czyli o 20 kg mniej niż karoseria metalowa. Pracownia poliestrów Instytutu przygotowuje obecnie poliestrową żywicę na karoserię do samochodu osobowego „Syrena“. Proszę spojrzeć: te mało efektowne, lekko przeźroczyste płyty są wytrzymałe jak stal, lekkie, giętkie, niepalne i nieulegające korozji.

— No dobrze, ale te rzeczy znane są na świecie, wystarczy wziąć fachową literaturę?...

Mgr Zofia Kłosowska, całkiem młoda i całkiem niechemicznie wyglądająca osoba, prostuje tę heretycką uwagę laika: „W literaturze nie ma „wszystkiego“, nie ma gotowych recept. Trzeba samemu znaleźć własne surowce i własne sposoby“. Pozostaje tylko życzyć — najszybszych poszukiwań.

Plastyczny szlagier

Nazywa się: żywica epoksydowa. Służy do produkcji lakierów, klejów i — przede wszystkim — stosuje się ją zamiast izolacji olejowej. Ma jakieś zupełnie niezwykłe własności elektryczne. Za rok znajdzie się w produkcji przemysłowej. Na razie gotują ją tu w setkach kolb i słoi, mieszają z lakierami w atmosferze dwutlenku węgla. Jest to najnowsza dziedzina chemii, niemowlę i wielka nadzieja epoki tworzyw sztucznych.

Piana ze śmietany

Nie, nie nadaje się do jedzenia. Doskonale natomiast zastępuje korek, np. do pływaków sieci rybackich. Produkcja tego dziwnego materiału odbywa się całkiem gastronomicznie. Białą mąkę (polichlorek winylu) urabia się z płynem (zmiękczaczem) oraz rozrostem — na ciasto o wyglądzie gęstej śmietany. To „ciasto“ piecze się w zamkniętych formach, pod wpływem temperatury wydziela się gaz, a ciśnienie wzrasta do kilkuset atmosfer. Po ochłodzeniu otwiera się formy. Tak wypieczone „ciasto“ zanurza się do gorącej wody, w której ono rośnie i staje się ciałem porowatym. Rezultat: „pianką“ — materiał 14-krotnie lżejszy od winiduru (ciężar 0,1—0,2), minimalnie zanurzający się w wodzie.

Metale można lepić

Pechowe brytyjskie „Comety“ miały duraluminiowe skrzydła, spajane klejem z żywicy syntetycznej. Ale katastrofy tych pasażerskich odrzutowców nie mają nic wspólnego z klejem. Przeciwnie, stwierdzono, że po upadku metal popękał i potrzaskał, ale klej nie puścił. Niektóre takie kleje wytrzymują naprężenie do 400 kg na centymetr kwadratowy i są pewniejsze od gwoździ, nitów i spawania. Najgorzej jest z klejeniem... samych mas plastycznych, zwłaszcza zupełnie nielepnego winiduru. Pracownik Instytutu, Jerzy Iskra, znalazł metodę klejenia winiduru z betonem, metalem, ceramiką i samym winidurem.

Nawet pod ziemią...

...zaczynają się rozpychać tworzywa sztuczne. W kopalni „Gottwald“ w Stalinogrodzie od czerwca 1955 roku pracuje nienagannie 50-metrowy odcinek taśmy przenośnikowej z polichlorku winylu (pomysłu inż. Mariana Hetmana). Taśma ta — w przeciwieństwie do stosowanych dotychczas — jest zupełnie niepalna i znakomicie zwiększa bezpieczeństwo pracy w kopalniach.

Psychoza nylonu

Trwa już od II wojny światowej. Nie trzeba iść aż do Instytutu Tworzyw Sztucznych, by jej się poddać. Wystarczy czytać gazety, patrzeć na wystawy sklepowe (głównie zagraniczne), ubierać się nowocześnie, nowocześnie mieszkać i pracować. Każdej niemal chwili życia towarzyszy jakiś „nylon“, który czasem jest naprawdę nylonem a czasem inną masą plastyczną. Zachwycamy się nim, bo jest ładny lub praktyczny, czasem wręcz niezastąpiony. I oto jesteśmy świadkami szaleńczej kariery materiałów, które narodziły się w laboratoriach uczonych jako resztki z rozmaitych reakcji, jako jakieś smółki, z którymi długo nie wiadomo było co czynić. W połowie naszego wieku wypierają one niemal wszystkie materiały tradycyjne, uznane dotąd za doskonałe. Dziś nikt nie ma już wątpliwości, że niezawodne są sztucznie wytworzone: liny okrętowe, włókna techniczne i odzieżowe, materiały izolacyjne, łożyska i koła zębate (z warstwowego tekstolitu), szkło, świecące w nocy masy plastyczne, lakiery, skóra, kauczuk (syntetyczny przewyższa naturalny: jest mrozoodporny, nie starzeje się, nie podlega działaniu cieczy chemicznych) i — tysiące innych materiałów. „Nylon“ podbił świat.

Jak się nie poddać psychozie...

...skoro — dla przykładu — z jednego metra sześciennego drewna można drogą chemicznej przeróbki, wyprodukować tyle sztucznego jedwabiu, ile daje 300 tysięcy kokonów! Jeden jedwabnik przez całe swoje życie wydziela zaledwie pół grama jedwabiu. W fabryce w ciągu jednego dnia produkuje się go kilka ton.

Kto powiedział że cudów nie ma?

Oczywiście, są. Dzieją się codziennie w setkach laboratoriów, w dziesiątkach fabryk. Są to cuda bardzo materialne, ale synteza chemiczna graniczy dla laika ze światem irracjonalnym. Synteza chemiczna zachodziła tysiące lat samorzutnie w przyrodzie, aż pewnego dnia człowiek nauczył się według swej woli tworzyć związki chemiczne z pierwiastków. Nauczył się naśladować przyrodę, obecnie zaś — usiłuje ją zdystansować. Większość mas plastycznych już dziś nie ma odpowiednika w materiałach naturalnych i posiada cechy takie, jakie człowiek zapragnął im nadać. Węgiel, woda i powietrze są produktami wyjściowymi do tych chemicznych procesów przemysłowych, odbywających się w temperaturze od minus 200 stopni do plus 2500, w ciśnieniu od głębokiej próżni do 1000 atmosfer.

To jest epoka!

Przyszła razem z energią atomową, ultradźwiękami, półprzewodnikami, radarem i antybiotykami. Stworzyła z naszego stulecia okres genialnych odkryć i wspaniałego rozkwitu nauki.

Tyle widział reporter

I tyle wam przekazał. Pozostałe informacje o epoce tworzyw sztucznych, w której wszyscy żyjemy będziecie zbierać we własnym zakresie.

OLGIERD BUDREWICZ



— Gdzie on mieszka? — zapytał Andrzej przy niedzielnym obiedzie.

— Na Placu Konstytucji — odpowiedział ojciec Janka, nakładając sobie na talerz większą porcję buraczków.

— Taki mały i mieszka na Placu Konstytucji? — zdziwił się Janek.

— Ja nie wiem czy ja pójdę do takiego żłobkowca — Andrzej wypchał sobie policzki olbrzymią porcją kartofli. — On ma dopiero osiemnaście miesięcy i pewnie nawet nie gada.

— Pojedziemy tramwajem — zachęcała matka Janka.

— Byczo — zdecydował Andrzej — a czy mama umie się czepiać?

— W niedzielę nie ma czepiania — Janek opuścił sobie na kolana łyżeczkę buraczków i zaczął je dyskretnie rozmazywać po spodniach.

— Ja szalenie lubię jeździć tramwajami w ogóle. Czy tata lubi jeździć?

— Bardzo — oświadczył ojciec Janka.

— A tata dużo podróżował?

— Pewnie.

— A tata był w Zakopanem?

— Byłem.

— A w Krakowie.

— Też.

— A w zagranicy?

— Za granicą.

— Gdzie tata był za granicą?

— Nigdzie nie byłem za granicą — zdenerwował się ojciec Janka. — O, cały się umazałeś buraczkami.

— Dlaczego tata nigdzie nie był za granicą?

— Jakoś nie byłem. Masz tu serwetkę i wytrzyj zaraz te spodnie i łapy, bo dostaniesz.

— A czy tata kiedy wyjedzie za granicę?

— Nie wyjadę.

— A mama?

— Może.

— To może tata też później wyjedzie — pocieszał Janek ojca. — Jak ja będę dorosły to będę wielkim podróżnikiem. Będę jeździł po całym świecie i będę zbierał znaczki pocztowe.

Matka Janka przybiegła z kuchni, niosąc na tacy salaterkę z kompotem.

— No, zjadajcie szybko, bo musicie się przebrać, umyć łapy i zaraz jedziemy na te imieniny — powiedziała.

Rozdzieliła kompot.

— Janek, zlituj się! — krzyknęła nagle. — Jesteś cały w buraczkach! Marsz natychmiast do łazienki i umyj się. Ciepłą wodą — dodała.

Janek natychmiast bez słowa wstał od stołu i pędem pobiegł do łazienki.

— Gaz się nie chce palić — zawołał stamtąd po chwili. — Nie będzie ciepłej wody. Wieczorem nie będzie kąpieli!

— Dlaczego nie ma gazu? — zdziwiła się matka Janka.

— Nie wiesz? — Andrzej zaśmiał się tryumfalnie — staruszka nawaliła.

— Czyś ty oszalał?

— Bo ty gazet nie czytasz — stwierdził Andrzej sucho — mówiłem to tacie już kilka razy. Ty wcale nie czytasz gazet, tylko je zbierasz na podpałkę. W gazecie było, że gazu nie będzie, bo staruszka nawaliła.

— Jaka znowu staruszka?

— Staruszka warszawska.

— Ty masz źle w głowie. Jak to staruszka warszawska?

— No, gazowa jubilatka. Niech mama czyta „Życie Warszawy".

— Jaka znowu jubilatka. Tobie się coś pokręciło.

— Co chcesz od dziecka? — żachnął się ojciec Janka. — Rzeczywiście tak pisano. Gazownia warszawska ma sto lat i coś w niej oczywiście nawaliło.

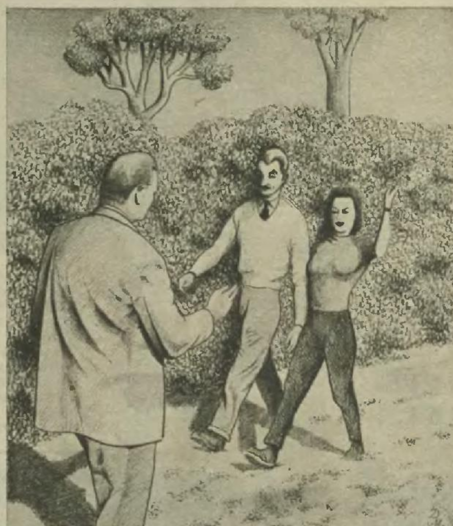
— Ale niech mama się nie martwi — zatryumfował Andrzej. — Czeka ją na przyszły rok odmładzająca kuracja. Oczyszczą jej rury, bo ona nie może zaspokoić milionowej stolicy. Tak pisali.

— W zeszłym roku, kiedy on jeszcze nie umiał sam czytać, był jednak większy spokój w domu — westchnęła matka Janka. No, jazda, leć do łazienki i myj też ręce. Zimną wodą — dodała.

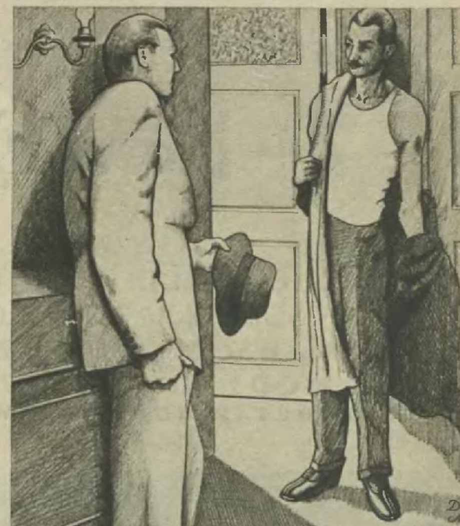
(Dalszy ciąg nastąpi)

KRADZIEŻ „DAMY z ŁASICĄ" w Krakowie!

SENSACYJNY REPORTAŻYK ZGADYWANKA



1. Detektyw Seweryn Oko od dawna ma już na oku Baltazara Chwasta, kilkakrotnie karanego przestępcę. Zauważył, że od jakiegoś czasu Chwast często odwiedza krakowskie muzea. Ponieważ Chwast mieszka w podmiejskiej dzielnicy Cichy Kącik, Oko chętnie tam się kręci. Dziś spotkał Chwasta wracającego do domu w towarzystwie kociaka. Na tej wąskiej, zakurzonej dróżce, jedynej która wiedzie z miasta do Cichego Kącika, trudno się nie zobaczyć. Toteż Oko nie próbuje się kryć. Bacznym wzrokiem mierzy dziewczynę. Mimo, iż zmęczona długą wędrówką i upałem, z ożywieniem rozmawia ze swym towarzyszem. „Oho! — myśli Oko — coś knują".



2. Trzy dni później Oko przebywa — tym razem samochodem — tę samą uciążliwą drogę do Cichego Kącika i zjawia się w mieszkaniu Chwasta. Ten, jak gdyby zdziwiony niespodziewaną wizytą pośpiesznie nakłada szlafrok, ale Oko i tak zdążył już dojrzeć świeżutki siniec na ramieniu podejrzanego. Poza tym jednym znakiem szczególnym, Chwast wygląda na wytwornego człowieka. Jego napomadowane włosy, zczesane w piękną plerezę lśnią równie nieskazitelnie jak i jego wybłyszczone, czarne półbuty. Dodają mu elegancji spodnie o nieskazitelnie zaprasowanych kantach. „Tak! — pomyślał Oko. — Pozory nieraz mylą". Potem przedstawia się i mówi:



3. — Pół godziny temu było włamanie do Muzeum Czartoryskich. Nieznani sprawcy — po sterroryzowaniu dozorcy — skradli obraz „Damy z łasicą" i zbiegli samochodem. Mam pewne powody przypuszczać, że i pan tam był, panie Chwast. Czy mogę wiedzieć, co robił pan 30 minut temu? Jest to pierwsza sprawa, którą musimy dokładnie ustalić". Chwast wy[illegible] się zaskoczony tą całą sprawą. — Coś takiego -wykrzykuje — „Dama z łasicą"! Oczywiście, że nie mam z tym nic wspólnego, ale chętnie odpowiem, jeśli może to panu pomóc. Pół godziny temu znajdowałem się w drodze powrotnej z miasta do mieszkania.



4. — Ile czasu zajął panu ten powrót? — pyta Oko, patrząc nań przenikliwie. — Około 45 minut — odpowiada Chwast. — Bo szedłem piechotą, a sam pan wie, że to jednak kawał drogi. I ten upał... Dosłownie kilka minut przed pańskim przyjściem wszedłem do mieszkania. Zacząłem się właśnie przebierać, ale zdążyłem tylko zdjąć koszulę i nakładałem szlafrok, gdy pan zadzwonił. Wybaczy więc pan mój strój... Oko uśmiechnął się ironicznie i wyciągnął rewolwer: — Proszę nie stawiać oporu, Chwast. Pańskie alibi jest fałszywe, wiemy o tym obaj równie dobrze. Aresztuję pana pod zarzutem dokonania kradzieży!

CO UTWIERDZIŁO Seweryna Oko w przekonaniu, iż Chwast podał fałszywe alibi? **ZASTANÓWCIE SIĘ**, a Wasze domysły sprawdźcie później z rozwiązaniem, które zamieszczamy wewnątrz numeru. **WIEDŹCIE** jednak, że jest ono tym razem specjalnie dobrze ukryte!

TO i OWO

Podczas przedstawienia „Kopciuszka" Prokofiewa w moskiewskiej operze, na którym byli obecni francuscy aktorzy przed lożą Danielle Darrieux, Dany Robin i Gerarda Philipe'a pojawiła się biała włóczkowa nitka, z przywieszoną do niej kartką czystego papieru. To jedna z moskiewskich studentek siedząca na „Jaskółce", o kilka pięter wyżej ponad lożą francuskich gości spruła rękaw swego białego swetra i umieściła na niej ową kartkę. W ten sposób zdobyła ona cenne dla niej autografy, nieustannie obleganych przez tłumy wielbicieli aktorów.



MODA WYBIERAM SIĘ NA ZabawĘ

FILM Z ŻYCIA MŁODEJ PARY (małżeńskiej) W SOBOTĘ KARNAWAŁOWĄ ROKU 1956. WSZYSTKIE DANE Z ZAKRESU MODY AUTENTYCZNEJ

FOTOREPORTAŻ HOFF-MAJEWSKI



UMYŁAM głowę, wykąpałam się, zrobiłam sobie manicure. Polakierowałam paznokcie (całe, bez zostawiania księżyców) jasnym, różowym lakierem (ciemne lakiery niemodne). Zanim lakier zupełnie zaschnął, wkładałam na chwilę palce pod strumień zimnej wody: w ten sposób lakier lepiej się trzyma. Przynajmniej tak mówią



Gdy paznokcie są już suche wkładam bieliznę i pończochy. Pończochy wkładam w rękawiczkach, by się nie zadarły. Naprzód wciągam czubek stopy (kuląc palce do dołu), potem starannie naciągam piętę pończochy, tak by była dokładnie na swoim miejscu, wreszcie obciągam łydkę, bacząc by szew był równy



Wkładam wieczorowe klipsy. Wskazane są klipsy wiszące. Mąż ostrzega, że klipsy nie będą pasowały do naszyjnika (o naszyjniku będzie dalej). Na to mu odpowiadam, że wcale nie muszą pasować. Tak zwane „komplety" sztucznej biżuterii nie są krzykiem elegancji





Próbuję, czy uda mi się ułożyć z włosów modny „płaski kok" (coś w rodzaju dziecinnego loku, ułożonego na tyle głowy). Ale mam jeszcze na to za krótkie włosy. Może zdążą podrosnąć do tej fryzury na Ostatki. Zostaję więc w mojej odrastającej fryzurze na pazia



Wkładam korale, dużo sznurków coraz dłuższych: szczyt mody! Mogą to być „perły", ale niekoniecznie. Co prawda, o perły jest najłatwiej. Mąż wkłada muszkę. Powinna być właściwie długa i wąska. Ale chłopiec nie ma jeszcze modnej, więc kładzie taką jaką ma



Do mojej sukienki „A", która to linia na wieczór wciąż jest modna, można by włożyć szarfę. W zeszłym roku wkładałam. Teraz mąż twierdzi, że szarfa nie pasuje kolorem do sukienki (wykształcił się!). A zresztą jeśli szarfa, to już nie może być widać halki. A halka modniejsza. Rezygnuję



Jestem gotowa. Ostatni rzut oka na męża. Przepisowe czarne ubranie z małymi i wysoko zapiętymi klapami, bez kamizelki, biała chustka w kieszonce, biała koszula (mankiety wystają), muszka (choć mógłby być też gładki ciemny krawat), jednym słowem zdawałoby się, wszystko w porządku...



...gdyby nie włosy. Ten wysoki czub nad czołem niemodny! Mąż broni się, że właśnie z takim czubem mu do twarzy. Co tam do twarzy, skoro się nie nosi. Muszę przecież z modnym chłopcem wystąpić na zabawie. Bez miłosierdzia ścinam czub nożyczkami. Wyszło nierówno, ale to nic nie szkodzi



A teraz zjemy po dwie kanapki, żeby na zabawie nie wydać za dużo pieniędzy na odżywianie. Zresztą wiadomo, że z początku trudno tam będzie dopchać się do bufetu. Jem ostrożnie, żeby nie rozmazać sobie konturów pomalowanych warg. Przed wyjściem usta jeszcze poprawię

Teraz robię makijaż. Pudruję się b. lekko i tylko nos. Brzegi warg pociągam ciemniejszą pomadką, a potem całe wargi maluję pomadką jasną. Policzków nie maluję wcale. Brwi niech będą jak najszersze. Maluję lekko górne rzęsy, kładąc szczególny nacisk na zewnętrzne kąciki (na fot.) Dolnych nie maluję wcale

Teraz halka. Nowość! W „Przekroju" jeszcze o tym nie było. Halka ma wystawać spod sukienki. Obszywa się halkę szeroką koronką (10 cm) ufarbowaną na kolor kontrastowy do koloru sukni. Więc jeśli suknia niebieska, to koronka halki czerwona. Mąż to pochwala

Wychodzimy! Powstaje zagadnienie, gdzie mam podziać kredkę, grzebyk i puderniczkę? Torebka na zabawie przeszkadza. Modne jest nosić te rzeczy „w chłopcu". Pakuję mu więc wszystkie swoje graty do kieszeni. Zresztą będzie to dobry pretekst, by go zawsze potem na zabawie odszukać

Dziś Lucynka i Paulinka, jako autorki pocztówki świątecznej pt.

NASZE MAŁE ŻYCZENIA

Wygodnych bucików
muzykalnych danserów
silnej woli w odchudzaniu
szybkiego odrośnięcia koka
gładkiej cery
miłych telefonów
długowiecznych nylonów
pogody na zimowych wczasach
trwałej bez baranka
trafnego wyboru kapelusza
cierpliwości do szczotkowania włosów
zdolnych do dyskrecji przyjaciółek
niegniotących klipsów
bladego nosa
odwagi do pójścia do dentysty
udanych majonezów
skończenia robótki
pomoru na mole w szafie
pogodzenia się z sąsiadką
wytrwałości w rannej gimnastyce
dobrego humoru
wystrzegania się piątego grzechu
uprzejmych sprzedawczyń
równych plis na spódniczce
kwiatów od anonima
nie gubienia
nowej sukienki
punktualnych pralni
nieżonatych wielbicieli
starannego demakijażu przed spaniem
dobrego gustu dających prezenty
prasowania bez przypalania
prania bez puszczania farby
natchnienia przy sprawunkach
niepsujących się zamków błyskawicznych
małych ogonków
niestraconych niedziel
siedzących miejsc w podróży
kosmetyków z dobrego transportu
abstynencji od niepotrzebnych wydatków
spadania kromki masłem do góry
pozbycia się przesądu, iż wełniane pończochy pogrubiają i że danser musi być wyższy
zdobycia czółenek na cienkim obcasie
wysprzątanych szuflad
łatwych wstawań z łóżka
podwyżki
dobrej zabawy na Sylwestra

ŻYCZĄ Z OKAZJI ŚWIĄT CZYTELNICZKOM „PRZEKROJU" LUCYNKA I PAULINKA

ZŁOM — ZŁOM — ZŁOM!

KONKURS Centralnego Zarządu Gospodarki Złomem

polega na ułożeniu hasła propagującego zbiórkę złomu.

WARUNKI KONKURSU: może w nim brać udział każdy Czytelnik „Przekroju", który nadeśle do naszej redakcji (Kraków, skrytka pocztowa nr 560) w terminie do 3 stycznia 1956 r. jedno lub dwa, a najwyżej trzy hasła propagandowe. Hasła te mogą, ale nie muszą być wierszowane. Piszcie także hasła prozą! Za najlepsze hasła zostanie przyznanych 30 nagród.





UWAGA: Wasze hasła przysyłajcie na zwykłych kartkach papieru. Ten konkurs nie ma i nie wymaga żadnego kuponu.

Hasła o złomie mogą być nadsyłane w tej samej kopercie łącznie z rozwiązaniami naszych konkursów ze strony 8.

Na kopertach z rozwiązaniami należy napisać KONKURS i koniecznie adresować w ten sposób: Redakcja „Przekroju" Kraków, skrytka pocztowa 560.

Dla ułatwienia układania nowych haseł podajemy cztery przykładowe hasła popularyzujące zbiórkę złomu:

Złom — to w domu zbędny bagaż,
gdy go zbierasz — dopomagasz.

*

Złom leży tu, złom leży tam,
a w hutach jest potrzebny nam.

Złom — to cenny surowiec dla przemysłu.

*

Brązy niemodne, zbędne mosiądze
to są w postaci złomu — pieniądze.

LISTA NAGRÓD

1. Radioodbiornik „SYRENA" (6-lampowy z magicznym okiem).
2. Rower męski, półwyścigowy „Tourist" (produkcji czechosłowackiej).
3—4. DWA radioodbiorniki „PIONIER" (4-lampowe w drewnianej obudowie).
5. Adapter do płyt długogrających.
6. Popelinowa wiatrówka męska.
7. Walizka skórzana.
8. Teczka skórzana.
9—10. Dwie ładne lampy na biurko.
11. Czajnik elektryczny.
12—13. Dwa wieczne pióra ze złotą stalówką.
14. Skórzany męski portfel.
15—17. Trzy pary damskich pończoch steelonowych.
18—20. Trzy komplety Dzieł Tuwima (Poezje i Kwiaty polskie).
21. Zegar ścienny.
22. Piłka do siatkówki.
23—30. Osiem ołówków automatycznych.

Nagrody dla Czytelników ofiarowane są przez Rej. Zbiornicę Złomu w Krakowie

PĘKNIĘTY moździerz, dziurawe garnki, puszki z konserw, zużyte tuby z pasty, stare i uszkodzone klamki, żyrandole, lichtarze, mosiężne krany, połamane łyżki i widelce, kapsle z butelek po piwie i wodzie mineralnej, pudełka z pasty... Dość. Na pewno każdy z was mógłby jeszcze przez wiele minut sam wyliczać podobne rupiecie, jakie bez trudu znalazłby w swoim mieszkaniu. Leży to po kątach w piwnicy lub na stryszku, bo „może się przydać".





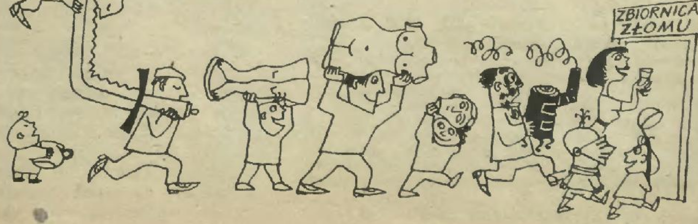


Przy okazji jakichś porządków, choćby ostatnich — świątecznych, przekłada się to wszystko z kąta w kąt, albo po prostu wyrzuca na śmietnik. Skutek: podwójna strata, bo właściciel tych bezużytecznych przedmiotów traci sporo złotówek, a nasza gospodarka cenny surowiec — złom.

Choćby takie kapsle do butelek. Z pozoru bezwartościowa blaszka, ale tych blaszek można by zebrać rocznie w naszym kraju cały pociąg i wytopić z nich kilkadziesiąt ton wartościowego metalu — cyny.

Czytaliście może gdzieś w poczekalni albo w tramwaju takie hasło - wezwanie: „Huty czekają na złom, który jest nieodzownym surowcem do produkcji stali". To, co dla milionów rodzin w mieście lub na wsi jest bezużytecznym rupieciem, po zebraniu i przetopieniu nabiera wartości stali. Łatwo więc zrozumieć, że każdy zebrany kilogram złomu, to wzrost produkcji parowozów, mostów, maszyn rolniczych, samochodów pralek elektrycznych itp.

We wszystkich miastach i wsiach istnieją punkty skupu złomu. W punktach skupu można sprzedać wiele z tych rzeczy, które bezmyślnie wyrzuca się na śmietnik, lub które bez pożytku leżą w każdym mieszkaniu. Ceny płacone za złom są różne np. 1 kg miedzi — 6 zł, za złom aluminiowy 3 lub 4 zł, za złom cyny 40 zł. Jeśli ktoś jest zbyt leniwy, aby odnosić złom do punktu skupu, niech skorzysta z pomocy młodzieży szkolnej, komitetu rodzicielskiego, komitetu blokowego czy też jakiejkolwiek innej organizacji społecznej.



Rysunki J. Smólskiego

BRACIA ROJEK

ŻYCIE i ŚMIERĆ CHARLIE PARKERA



Parker w roku 1945



Parker w roku 1955



Pogrzeb Charlie Parkera

Zmarł 12 marca 1955. Miał lat 34.

Gazeta nowojorska Daily Mirror dała na pierwszej stronie wielki tytuł: „Król Bopu umarł w mieszkaniu baronowej Rotschild". To że Parker zmarł u siostry Rotschilda, wydało się dziennikarzom amerykańskim niesłychanie ważne.

Okoliczności tej śmierci były jednak istotnie dziwne. Pani Rotschild to milionerka, snobka, matka pięciorga dzieci, przesiadująca stale w nocnych klubach jazzowych. Parker umarł 12 marca w sobotę wieczorem w jej domu. Sama baronowa w niedzielę spędziła cały wieczór w klubie jazzowym „Open Door" w licznym towarzystwie najbliższych przyjaciół Parkera, i nawet jednym słowem nie odezwała się o tym co się wydarzyło u niej w domu poprzedniego wieczoru. Dlaczego? Dlaczego ciało artysty przewieziono do kostnicy, zostawiono, i tam przeleżało jako nierozpoznane przez dwa dni? Dlaczego pogrzeb odbył się dopiero w jedenaście dni po zgonie?

*

Miał przezwisko „Bird" — Ptaszek. Był najmłodszy z „wielkiej trójki" murzyńskich artystów jazzu: Armstrong—Ellington—Parker. Umarł pierwszy, ale przez swe krótkie życie potrafił jazzowi narzucić nowoczesny styl muzyczny be-bop. Sam był zresztą jednym z głównych jego twórców.

*

W tym roku w lecie, podczas pobytu w Paryżu, mieliśmy okazję słyszeć wiele płyt Parkera. Zrobiły na nas olbrzymie wrażenie. Jego muzyka była często dla nas zbyt trudna — jak to się mówi — do zrozumienia. Nagłe spadki, ostre niespodziewane skoki linii melodycznych, nierozwiązywanie akordów, ostre dysonansy i pozorna chaotyczność — nie są łatwe dla niewprawionego ucha. Jednak nie mieliśmy ani przez chwilę cienia wątpliwości, że słyszymy wielkiego, niezwykłego artystę.

Jeśli chodzi o muzyków jazzowych, to oni sami jednogłośnie uważają Parkera za największego spośród nich. Nie ma jednego nowoczesnego artysty jazzu, który by nie twierdził „najwięcej nauczyłem się i skorzystałem od Parkera". Mówili to jeszcze za jego życia, wtedy, gdy sam Parker obdarty i wynędzniały, żebrał na ulicy w Nowym Jorku.

*

Parker opowiadał: „Miałem 12 lat, gdy rozpocząłem nocne życie. Miałem 15 lat, gdy nauczono mnie co to jest heroina. Przeklęty narkotyk. Całe moje życie stało się tragedią".

*

Od początku grał jakoś inaczej niż inni muzycy. Jednak dopiero w latach 1942—1944 następuje odkrycie. Odkrycie zupełnie nowego stylu jazzowego nazwanego „be-bop".

Zrealizowało się to na tzw. jam-sessions, czyli „marmoladowych zebraniach". Nazwa ta i zwyczaj pochodzi jeszcze z czasów nowo-orleańskich. Mianowicie muzycy jazzowi z różnych orkiestr po zakończeniu pracy, schodzili się w jakiejś knajpce. Tam grali już nie dla publiczności lecz dla własnej satysfakcji. Ponieważ artyści ci to byli ludzie ubodzy, przynosili ze sobą na noc własną i to możliwie tanią wałówkę: pół bochenka chleba i marmoladę (jam).

Otóż na takich zebraniach marmoladowych w latach 1940—42 czterech muzyków wypracowało be-bop. Byli to: Charlie Parker (saksofonista-alt), Monk (pianista), Gillespie (trębacz) i Kenny Clarke (bęben, perkusja). Który z nich odegrał w tej pracy najdonioślejszą rolę, nie wiadomo, a oni nigdy nie chcieli tego wyjawić. Wiele mówiło się o tym, że to właściwie Clarke był tym istotnym twórcą bopu. Inni przypisują główną zasługę Monkowi. Fakt jest, że oni sami zawsze uważali Parkera jakby za swego szefa, za najwybitniejszego artystę z ich czwórki, i że właśnie Parker potrafił swą sugestywną grą narzucić ten styl współczesnemu jazzowi. Pierwsze ich płyty be-bopowe ukazały się w roku 1945: została przewrócona kartka w historii jazzu.

*

Od 1945 roku muzycy jazzowi w Ameryce i w Europie mówią wyłącznie o be-bopie. Jedni są za, drudzy przeciw, wszyscy jednak stwierdzają, że jest to jazzowa rewelacja. Są rozgorączkowani. Publiczność jednak nic nie rozumie z tej trudnej i pozornie chaotycznej muzyki.

Parker włóczy się w tym czasie po małych miasteczkach amerykańskich, w których jest po prostu wygwizdywany. Jest w skrajnej nędzy. Parker mówił: „Ludzie nie rozumieją tu mojej muzyki. Gorzej, oni jej nienawidzą. Jak można nienawidzieć jakąkolwiek muzykę? Czy ona wyrządza komuś jakąś krzywdę?"

29 lipca 1946 udał się do studia, aby nagrać kilka płyt. Był w zupełnym rozstroju nerwowym, w trzęsących się rękach nie mógł utrzymać saksofonu. Nagrał tylko jedną, i uciekł ze studia. (Płyta ta została wydana mimo ostrego sprzeciwu Parkera. Jest ona uważana za jedno z jego arcydzieł. Parker przez lata ścigał sądownie producenta, zresztą bezskutecznie. Nigdy nie wolno było przy nim wspomnieć o tej płycie). Tej nocy podpalił swój pokój w hotelu, a gdy płomienie i dym zaczęły go dusić, wybiegł zupełnie nago na ulicę, gdzie zaczął wyć przeraźliwie.

Ze szpitala dla umysłowo chorych wyszedł uspokojony i zrównoważony. Ożenił się z przemiłą dziewczyną imieniem Doris. Znał ją z czasów, gdy grał w klubie, w którym ona pracowała w szatni. Mimo nadludzkich wysiłków Doris, spokój nie trwał długo. Aby nie zażywać heroinowych narkotyków, Parker zaczyna okropnie pić. Po beznadziejnej walce Doris poddaje się. Rozwód. Parker żeni się po raz drugi, z niezbyt lubianą przez jego przyjaciół jazzowych, niezwykle przystojną brunetką, Chan Richardson.

W roku 1950 jest uznany, sławny, wielbiony. Zdobył publiczność, a przynajmniej jej awangardowy odłam. Płyty Parkera sprzedaje się masowo.

W tym to roku nagrywa dwie płyty (16 utworów) z orkiestrą... smyczkową. Uważa je za swoje ogromne osiągnięcie. Jednak krytyka i opinia melomanów jest miażdżąca. Pomysł grania na saksofonie z akompaniamentem „smyczkamiów" (5 skrzypiec, wiolonczela i... harfa) uważają za całkowicie poroniony, a grę samego Parkera za zupełnie słabą i nieinteresującą. Ponadto oskarżają Parkera, że nagrał te płyty z przyczyn... komercjalnych. On, najmniej komercjalny ze wszystkich artystów! Jest to najcięższa zniewaga dla każdego prawdziwego muzyka jazzowego.

Pewne wyjaśnienie: muzycy jazzowi już od kilkunastu lat nie grywają na dancingach i w ogóle nie grają do tańca. Głównym źródłem utrzymania są dla nich występy w tzw. „klubach jazzowych". Są to małe lokale, w których publiczność siedzi przy stolikach, popijając piwo, soki owocowe, coca-colę, coctaile, kawę, rzadko i w niewielkich ilościach napoje alkoholowe. W lokalach tych się nie tańczy. Inne źródła dochodu to radio i występy w dużych salach koncertowych, oraz płyty. Dochody z płyt zależą od ilości sprzedanych egzemplarzy, mają więc ogromną rozpiętość: czasem nie przynoszą prawie nic, czasem wielkie pieniądze. Ujemne recenzje i „położenie się" nowowydanej płyty ma więc dla muzyka jazzowego i w opinii, i finansowo, ogromne znaczenie.

Parker się zacina. Chce koniecznie występować z zespołem smyczkowym w klubach. Jednak kluby są zbyt małe, aby mogły wyżywić 13 osób smyczkowej orkiestry, towarzyszącej saksofoniście. Parker to niepowodzenie przeżywa bardzo ciężko.

*

Krytyka po ostrych atakach, zaczyna go w ogóle przemilczać. Albo nie pisze nic, albo drobne złośliwości... Dlaczego, trudno to zrozumieć. Płyty Parkera są z dnia na dzień coraz to mniej kupowane. Nagle umiera na zapalenie płuc ukochana córeczka artysty. Załamuje on się ostatecznie.

Nazwisko Parkera jest wciąż wielką atrakcją dla grona melomanów, ale kluby nie żyją tylko ze znawców, lecz i ze zwykłej publiczności. Parker przychodzi pracować nieogolony, w podartych łachmanach, zupełnie zaniedbany. Czasem nie zjawia się wcale. Niekiedy przychodzi, lecz bez saksofonu, który zgubił lub zastawił.

Próba samobójstwa przez wypicie jodyny.

Udaje się go uratować. Ze szpitala dla nerwowo chorych wychodzi znowu uspokojony, pełen nowej chęci do życia. Przestaje zupełnie pić. Codziennie udaje się do szpitala na zastrzyk. 30 sierpnia 1954 gra na wielkim koncercie w Nowym Jorku.

Bezapelacyjny, niebywały triumf. Jest jedynym muzykiem jazzowym, w określeniu którego wszyscy zgodnie używają słowa **genialny**.

*

Co się stało potem, nie bardzo wiadomo. Lekarz-psychiatra, który zaprzyjaźnił się z artystą w czasie jego pobytu w szpitalu (Parker zdrowy, był człowiekiem niezmiernie miłym i łagodnym, o wybitnie żywej inteligencji), skarży się, że Parker przestał przychodzić do szpitala na zastrzyki. Ci, co go widywali, twierdzili, że zaczął nagle mocno tyć. I to tym niezdrowym obrastaniem w tłuszcz. Chodził znowu obdarty i zaniedbany. Widywano go, jak wieczorami żebrał na ulicach.

Wśród amatorów jazzu rozchodzi się wiadomość, że w sobotę 5 marca 1955, w „Birdlandzie" (jednym z najlepszych nowojorskich klubów jazzowych: tak nazwanym ku czci „Birda" — Parkera), — „zupełnie wyjątkowo, jako uzupełnienie programu, jeden jedyny raz, wystąpi Charlie Parker".

Grał. Jakoś dziwnie, ale grał.

*

8 marca był u pani Rotschild. Skarżył się na trudności w oddychaniu. Nagle zrobiło mu się słabo. Wezwany lekarz zarządził bezwarunkowe przewiezienie do szpitala. Parker odmówił. Ułożono go w łóżku. Lekarz przychodził dwa razy dziennie. 11 marca nastąpiła znaczna poprawa. W sobotę 12 marca po południu, leżąc w łóżku oglądał wesoły program telewizyjny. Śmiał się serdecznie. Śmiejąc się, zaczął się dusić i zemdlał. W kilka minut później nie żył.

*

Tak przedstawiła dziennikarzom później baronowa przebieg zdarzeń.

Wszystko co się stało po śmierci Parkera było dziwne. Kilkunastu artystów zażądało w prasie urzędowego śledztwa i zbadania całej tej sprawy. Żądanie to po dziś dzień pozostało bez odpowiedzi. Koledzy natychmiast urządzili najwspanialszy i największy koncert w dziejach jazzu na rzecz matki i dzieci zmarłego. Kilka tysięcy osób odeszło od kasy, nie mogąc dostać biletów. Na cmentarzu było tylko kilkanaście osób, gdyż nie można było się dowiedzieć daty pogrzebu. Przez cały czas lał ulewny deszcz. Ptak odleciał.

FOTOGRAFIE NAJWYBITNIEJSZYCH *żyjących* PRZEDSTAWICIELI 3 STYLÓW JAZZOWYCH:

1

STYL NOWO-ORLEAŃSKI (zwany także DIXIELAND) najdawniejszy, całkowicie improwizowany. Typowe są zespoły 5—7 osobowe. **Sekcja rytmiczna** (fortepian, bęben, kontrabas, gitara) utrzymują rytm 4/4, akcentując wyraźnie każdą drugą i czwartą (tzw. słabą) ćwiartkę taktu. W sekcji **melodyjnej**, muzycy na temat jakiejś znanej melodii improwizują łącznie w trójgłosie (trąbka, klarnet, puzon). Jest to improwizacja zbiorowa. Jest ona polifoniczna (tzn. każdy instrument prowadzi we wspólnym trójgłosie samodzielną linię melodyjną opartą na tych samych akordach tematu)



LOUIS ARMSTRONG

(trębacz, śpiewak) ur. 1900 w N. Orleanie. Najwybitniejsza postać jazzu. Gra jego trąbki pełna napięcia, dynamiczna, często tragiczna, robi wstrząsające wrażenie. Obok tradycyjnej improwizacji zbiorowej, wprowadził on improwizację indywidualną. Zrozumiał znaczenie dla jazzu swingu i pierwszy zaczął świadomie swingować. Zdobył jazzowi miliony zwolenników. Także śpiewa. Niskim, zachrypłym głosem, a jednak jest największym śpiewakiem jazzowym



SIDNEY BECHET

(saksofonista sopran) ur. 1897 w N. Orleanie. Nikt nie gra tak pięknie i lirycznie jak on. Nawet ci, którzy nie gustują w jazzie, przepadają za Bechetem. Mieszka w Paryżu. Gra jego jest wciąż mistrzowska a równocześnie młodzieńcza. Ogromnie popularny



KID ORY

(puzonista, także kompozytor i śpiewak) ur. 1887 w N. Orleanie. Zasłużony weteran jazzu, mimo swych lat grający z niesłychaną werwą. Prowadzi najlepszy z istniejących obecnie zespołów w czystym nowoorleańskim stylu i wciąż odnosi sukcesy



MILTON MEZZROW

(klarnecista) przezwisko „Mezz". Biały, przyjaciel Murzynów i ich muzyki. Jego płyty i działalność w latach 38/40 przyczyniły się do Revival'u, czyli powrotu do łask stylu orleańskiego, wypartego poprzednio przez zespoły swingowe

2

STYL „SWING" (słuszniejsza byłaby nazwa: styl PEŁNY lub ZASADNICZY). Muzyka w dużej mierze pisana, jednakże **aranżowana** (tzn. że każda orkiestra dany utwór rozkłada na instrumenty i opracowuje zupełnie inaczej), **improwizowane** są tylko partie solowe (improwizacja indywidualna). Cała sekcja rytmiczna utrzymuje absolutnie równy jednostajnie akcentowany rytm na 4/4. Podkreślają go także często inne sekcje orkiestry powtarzającymi się akcentami (riffami). Charakterystyczne duże orkiestry kilkunastoosobowe, lecz bywały i małe zespoły z 4—6 wykonawców



DUKE ELLINGTON

(pianista, dyrygent, kompozytor, aranżer) ur. 1899. Stworzył typ nowoczesnej wielkiej (12—16 osób) orkiestry jazzowej. Przez 30 lat zmieniali się w niej muzycy, jednak zawsze można ją z miejsca rozpoznać, taka jest indywidualność kierownika. Żadna wielka orkiestra nie jest tak interesująco aranżowana i równocześnie nie daje takich możliwości solistom do improwizacji. Żadna orkiestra jazzowa nie brzmi pełniej. E. jest też świetnym pianistą



LIONEL HAMPTON

(wibrafonista, a także pianista, perkusista i śpiewak). Duży temperament, oszałamiające poczucie swingu. Potrafił wibrafon podnieść do godności muzycznego instrumentu. Improwizuje na nim, narzucając równocześnie swój precyzyjny rytm orkiestrze



BENNY GOODMAN

(klarnecista) ur. 1905 w Warszawie (tak!). Zasłynął jako „król swingu", kierownik wielkiej orkiestry swingowej. Ciekawsze są jego kameralne „tria" i „kwartety". Pierwszy w Stanach Zjednoczonych odważył się wystąpić z mieszaną orkiestrą czarno - białą

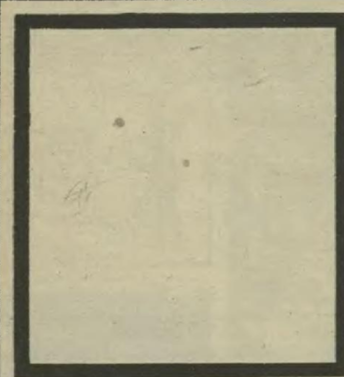


STAN KENTON

(pianista, dyrygent). Pragnie ostro zmodernizować styl wielkich swingowych białych orkiestr, jednakże nie w stylu bop i inaczej niż to robi Duke Ellington. Często odchodzi od jazzu w kierunku nowoczesnej muzyki niejazzowej

3

STYL NOWOCZESNY (zwany BE-BOP, w pewnej odmianie: COOL). Zespoły 4—6 osobowe, wyjątkowo i większe. Rytm na 4/4 utrzymuje tylko kontrabas, zaś bęben (perkusja) porusza się w tym rytmie swobodnie i samodzielnie (polirytmia). Partie aranżowane, a obok nich improwizacje: i indywidualne, i zbiorowe. Śmiałe wykorzystanie zdobyczy najnowocześniejszej muzyki. Stosowanie harmonii chromatycznej (gamy 12 tonowej), ostrego dysonansu, amodalności, a w niektórych wypadkach nawet atonalności. Powrót do polifonii, lecz całkiem innej niż w stylu orleańskim



CHARLIE PARKER

(saksofonista alt) 1920—1955. Najmłodszy z „wielkiej trójki" jazzu. Rewelacyjny improwizator. Współtwórca i najwybitniejszy wykonawca be-bopu, ultra-nowoczesnej muzyki jazzowej. Jego gra jest niezmiernie sugestywna lecz skomplikowana i trudna. Czujemy wielkość i siłę tego artysty, choć nie zawsze możemy za nim nadążyć. Jego dziwna a tak urzekająca muzyka jakby przekreślała proste pojęcia piękna i brzydoty



DIZZY GILLESPIE

(trębacz, a także pianista i śpiewak) jest wraz z Parkerem, Monkiem i perkusistą Kenny Clarkiem współtwórcą bebopu. Oszałamiający wirtuoz na trąbce, niezmiernie inwencyjny i śmiały improwizator. Człowiek spokojny, wesoły i zrównoważony



THELONIOUS MONK

(pianista). Jego dziwna skupiona gra nie ma w sobie nic z wirtuozerii. Czasem nawet wydaje się nieudolna. Jednak niezmiernie bogata w idee, nowatorska i fascynująca robi na zdziwionym słuchaczu bardzo duże wrażenie. Jeden z twórców be-bopu



GERRY MULLIGAN

(saksofonista baryton, kompozytor i pianista). Zasłynął kwartetem: saksofon, trąbka, kontrabas i perkusja (bez fortepianu!), z którym wypracował oryginalny ściśle kameralny styl (polifoniczny) o niezwykle pięknym brzmieniu, pochodnym od bopu (cool)

ZE SPOTKANIA muzyki murzyńskiej z europejską na przełomie XIX i XX wieku, powstał JAZZ. Twórcami jego byli artyści murzyńscy z Nowego Orleanu (USA, Louisiana). Istotą jazzu jest precyzyjna rytmiczność, improwizacja i specyficzny sposób grania tej muzyki. Wykonawca wysuwa się przed kompozytora. Toteż w jazzie ważniejsze od tego CO się gra, jest KTO gra. Dlatego zapisem muzyki jazzowej nie są nuty, lecz poszczególne wykonania nagrane na płyty. Najstarsze płyty jazzowe pochodzą z ok. 1918 r. W swoim rozwoju jazz wytworzył 3 style: **1. STYL NOWO-ORLEAŃSKI**, początkowy, najdawniejszy, panował samowładnie do ok. 1930 r., **2. STYL „SWING"**, który wypiera w latach 30/40 całkowicie styl poprzedni, a następnie łącznie z nim panuje do 1945 r., i wreszcie **3. STYL NOWOCZESNY** (Be-bop — czytaj: Bi-bop), który obejmuje przewodnictwo od roku 1945.

Style te powstały historycznie, jednakże nie wyparły się nawzajem, lecz współistnieją. Każdy z nich ma swoich zwolenników, jest grywany, jeszcze rozwija się i wzbogaca. Jednak muzycy nowo-orleańscy to ludzie po pięćdziesiątce, muzycy typu „swing" są po czterdziestce. Wśród młodych muzyków i amatorów jazzu największym zainteresowaniem cieszy się obecnie styl NOWOCZESNY. On też jest najbardziej aktywny.

ISTOTA jazzu jest we wszystkich trzech stylach jednakowa. To co różni jazz od muzyki poważnej, rozrywkowej i tanecznej, można ująć w „**SZEŚĆ PUNKTÓW JAZZU**":

1. Jazz jest muzyką SYNKOPOWANĄ, graną precyzyjnie w takcie 4/4.

2. Esencję jego stanowią IMPROWIZACJE indywidualne lub zbiorowe.

3. Partie „pisane" każda orkiestra (jej kierownik) „aranżuje", czyli opracowuje i przerabia tak, aby mieściły się one całkowicie w manierze grania danego zespołu.

4. Specyficzny sposób gry na instrumentach daje im oraz całości, swoiste brzmienie i barwę.

Te cztery punkty są KONIECZNE, aby w ogóle dany zespół można nazwać **jazzowym**. Jednakże aby wykonanie jazzowe utworu było DOBRE, powinno ono ponadto być wykonane:

5. HOT — oraz 6. SWING.

Są to pojęcia specyficzne dla jazzu, trudne do wytłumaczenia słowami, choć łatwe do odczucia podczas słuchania.

Grać HOT nie znaczy grać głośno i szybko, jak to niektórzy naiwnie twierdzą. Grać hot (gorąco, z uczuciem) znaczy grając, mieć coś ważnego do przekazania słuchaczom, mieć w ogóle coś do powiedzenia. Można grać wolno i cicho lecz hot. O ile wiemy, to Paganini improwizował i grał hot. Tak samo grają niektóre zespoły cygańskie. Nie jest to jednak jazzem, gdyż ani cyganie ani Paganini nie grają swing.

SWING jest to zjawisko rytmiczne, polegające na wytworzeniu się wśród grających

„JAZZ" (dokończenie)

charakterystycznej ATMOSFERY RYTMICZNEJ. Zjawisko to zostaje wywołane, zdaje się. przez absolutną trafność akcentów i specjalne wyczulenie rytmiczne grających muzyków. Swingu-rytmu, nie należy mieszać z nazwą jednego stylu „stylu swing". Rytm swingowy jest niezbędny w każdym stylu.

Ważne: te 6 PUNKTÓW jazzowych odnosi się do każdego jazzu, DO WSZYSTKICH TRZECH STYLÓW!

Spośród bardzo wielu znakomitych artystów jazzowych twórców i wirtuozów, wybraliśmy tu tylko 12-tu. Tych, którzy — jak sądzimy — w największej mierze przyczynili się do rozwoju tej muzyki. Obejrzyjcie teraz (na poprzedniej stronie) ich fotografie.

KILKA DOBRYCH RAD (jazzowych):

NIC w tym złego, że w różnorodnych i skomplikowanych problemach jazzu orientujesz się tylko powierzchownie. Złe jest, jeśli mając powierzchowne wiadomości i dorywcze osłuchanie, mówisz o jazzie złośliwie i niesłusznie.

W szczególności radzimy Ci:

● Nie mów „Jazz jest muzyką taneczną". Wprawdzie wywodzi on się z muzyki tanecznej, ale dawno już nią być przestał (ostatecznie teatr też wywodzi się z tańca). Jazzowi pozostała ostra rytmiczność, jednakże jest to obecnie muzyka wyłącznie do słuchania. Tak samo wiele utworów muzyki poważnej pochodzi z muzyki tanecznej, a jednak nikt ich nie tańczy; choćby mazurki Chopina.

● Nie mieszaj więc muzyki „tanecznej" i „rozrywkowej" z jazzem, choć one używają także saksofonu, perkusji i zapożyczyły od jazzu niektóre jego chwyty. Jazz to przede wszystkim improwizacja.

● Pamiętaj, że podobnie nie jest jazzem „Błękitna rapsodia", chociaż wybitny kompozytor amerykański Gershwin do swego utworu symfonicznego włączył pewne, zresztą powierzchowne, elementy jazzowe. (Nawiasem przypominamy, że Gershwin jest także autorem słynnej opery „Porgy and Bess" opartej na muzycznym folklorze murzyńskim).

● Nie mów „Niech będzie jazz, ale po co nam melodie murzyńskie, grajcie polskich kompozytorów". To jest tak samo jak byś żądał, aby nie grano walców Straussa, bo to austriackie. Jak byś domagał się, aby nasze orkiestry filharmoniczne wykreśliły z repertuaru „Bolero" Ravela, bo to hiszpańskie, a ZAMIAST (a nie obok) tego wstawiły do repertuaru tańce góralskie. Co byś powiedział o Amerykaninie, Włochu lub Angliku, którzy by sprzeciwiali się graniu w ich kraju Chopina, bo to polskie?

● Nie mów „Jazz to dobre dla Murzynów, ale nie dla Europejczyków". Jazz jest wkładem wybitnych artystów murzyńskich w OGÓLNOŚWIATOWY dorobek kulturalny. Z wysiłków i osiągnięć wszystkich artystów na świecie składa się nasza kultura i sztuka.

● Nie nazywaj jazzem samby, rumby, mamba itp., gdyż są one odległe od jazzu rytmem ($^2/_4$, co już uniemożliwia swingowanie), pochodzeniem (są to tańce ludowe Ameryki Łacińskiej lub Kuby), oraz charakterem.

● Nie mieszaj pojęcia „swingu" jako specyficznego rytmu, z „muzyką swingową" czyli określeniem pewnego stylu jazzowego.

● Nie mów, w formie argumentu przeciw jazzowi, że „Jazz nigdy nie zastąpi muzyki poważnej" — chociaż to prawda. Jazz nie ma ani takich zamiarów, ani takich możliwości. Jest to muzyka, która ze swojej istoty posiada ograniczony krąg odbiorców: może ona zdobyć głównie tych, których w muzyce interesują zagadnienia rytmiczne i na nie są wyczuleni.

B-CIA ROJEK

Oto okładka słynnej i nieudanej (?) płyty, którą nagrał PTAK-BIRD-Parker z orkiestrą smyczkową. Okładkę projektował młody wybitny amerykański grafik Dawid Stone Martin



A przecież kosztem kilkunastu złotych można by wyposażyć każdy przedział wagonu sypialnego w najprostsze wieszaki z poprzeczką, na zawieszenie złożonych na kant spodni. Wieszadła takie w Warszawie kosztują w detalu ok. 2 zł, a w hurcie — przekonany jestem że odpowiednio taniej.

„Elegant" (z 3 klasy, bo w 2-giej są wieszaki!)

Ryszard M., W-wa

»TATRĄ« DOOKOŁA ŚWIATA

Do Redakcji „Przekroju"!

Notatka o filmach czechosłowackich w zestawieniu „Co zobaczymy na ekranie w 1956 r." („Przekrój" 556) zawierała pewną nieścisłość. Mianowicie dwaj czescy inżynierowie Jirzi Hanzelka i Miroslav Zikmund nie odbyli swej podróży po świecie „Skodą", lecz innym samochodem marki czechosłowackiej „Tatrą".

Dla ciekawych dodam, że Hanzelka i Zikmund rozpoczęli swą podróż w kwietniu 1947 r. w Pradze. Podróż ta miała trwać trzy lata. Pierwsza jej część prowadziła z Pragi poprzez Niemcy, Szwajcarię i Francję do Marsylii, stąd statkiem do Casablanki.

Druga część odbywała się samochodem wzdłuż śródziemnomorskich brzegów Afryki do Kairu, dalej w górę Nilu, przez pustynię Nubijską, Abisynię, Somali, Kenię do źródeł Nilu. Stąd na południe przez Kongo, Rodezję, Unię Południowo-Afrykańską do Kapsztatu.

Interesujących się bliżej losami tych dwóch inżynierów odsyłam do wydanej w 1954 roku 3-tomowej książki Hanzelki i Zikmunda „Afryka marzeń i rzeczywistości", sprowadzonej przez „Dom Książki" z NRD. Warto też dodać, że zapowiedziany jest przekład tego dzieła na język polski.

Alfred Chwistek, Wrocław

FILATELISTYKA

W styczniu 1956 r. ukaże się stalorytowa seria „X-lecie Polski Ludowej na morzu" obejmująca 5 znaczków o wartościach 5, 10, 20, 45 oraz 60 gr. Znaczki powyższe wg projektu Stef. Łukaszewskiego będą sztychowali: J. Miller — 10 gr, Bog. Brant — 20 gr, M. R. Polak — 45 gr oraz St. Łukaszewski — 60 gr. Barwy jeszcze nie ustalone.

St. Mikszteln



CHCEMY! wieszać!

Obywatelu Redaktorze!

Orbisowe wagony sypialne 3 klasy zaopatrzone są w haczyki umocowane do półek, na których to haczykach podróżni z trudem wieszają swoje odzienie. W lecie jeszcze pół biedy, ale za to w zimie gniecie się wszystko, od ciepłego palta aż do koszuli. Łatwo się domyśleć jak wyglądają te ubrania rano!



Co by się stało, gdyby na brzeg nieznanej wyspy łaskawa fala wyrzuciła 3 rozbitków: kobietę i dwóch mężczyzn? Jeśli są to Hiszpanie, to jeden mężczyzna zabije drugiego; jeśli Włosi, to kobieta zabije któregoś z mężczyzn; jeśli Anglicy nie stanie się nic, ponieważ nie zostali sobie przedstawieni; jeśli Francuzi to w ogóle nie ma żadnego problemu... Takie przynajmniej rozwiązania podaje amerykański miesięcznik.



Angielski aktor Sir Cedric Hardwicke miał następnego dnia o wczesnej godzinie rannej udzielić wywiadu w radio. Już poprzedniego dnia przygotowywał go do tego dziennikarz, który miał z nim przeprowadzać wywiad:

— Zapytam też pana o definicję dobrego aktora. Czy ma pan już coś przygotowanego?

— Dobry aktor — odparł z miejsca Hardwicke — to człowiek, który mimo iż wstaje nieprzyzwoicie wcześnie i odpowiada na idiotyczne pytania, wygląda jakgdyby był niezmiernie zadowolony z tego wszystkiego.



— U nas proszę pani, do wycierania pióra używa się bibuły...

CZY WIECIE ŻE:



● Kawa „mocca" nazywa się tak od nazwy arabskiego portu Mocca, który słynął z doskonałych kawiarń.

Starożytni Rzymianie lubili święta. Za czasów Klaudiusza (poł. I wieku) ilość dni świątecznych w roku doszła do absurdalnej liczby 159.

Zbieranie gniazd jaskółczych na słynną zupę było ongiś przywilejem chińskich cesarzy. Gniazda te, budowane z porostów zlepianych śliną, mieszczą się na trudno dostępnych skałach i dlatego są bardzo kosztowne.

Przyjemnie jest rozpocząć nowy rok, wygrywając na loterii. Dlatego najlepszym i najprzyjemniejszym podarunkiem noworocznym jest los na loterię. Witamy więc Nowy Rok z losem loterii w ręce.



SPRZEDANA NARZECZONA

TZW. wysokie sfery londyńskie przeżywały ostatnio niemałą atrakcję. Otóż na uroczystej premierze opery „Sprzedana narzeczona" Smetany w Covent Garden, pojawiła się cała rodzina królewska i wszystkie najwyżej postawione osobistości. I oto — cała publiczność Covent Garden łączyła sobie niedwuznacznie treść libretta ze znaną historią księżniczki Małgorzaty. Na scenie: piękna i bogata Marysia kochała się w biednym Janku, oczywiście niechętnie widzianym przez rodzinę posażnej panny, w życiu — wiadomo: Małgorzata, pułkownik Townsend itd... Na scenie: młodzi zwyciężają, w życiu: o nie, tutaj sprawa potoczyła się inaczej. Małgorzata przyszła do opery już po oficjalnym zerwaniu z pułkownikiem Townsendem. Siedziała w loży tuż obok najwyższego przeciwnika jej małżeństwa, swego szwagra księcia Filipa. W ogóle na widowni znaleźli się — prócz Townsenda — wszyscy zamieszani w jakikolwiek sposób w sprawę ewentualnego mezaliansu księżniczki. Oto na zdjęciu widzimy arcybiskupa Canterbury, gdy wraz z małżonką wchodzi do Covent Garden. Wpływy i perswazje arcybiskupa również odegrały niemałą rolę w smutnej historii miłości księżniczki Małgorzaty.





KIEDY dojrzewają chłopcy? — to temat dyskusji, jaką urządziła amerykańska stacja telewizyjna. Oto co powiedział jeden z dyskutantów na ten temat: „Chłopiec staje się dorosły na 3 lata przedtem nim rodzice tego się domyślają, a w dwa lata potem, gdy on sam tak uzna".



Gałczyński



(o) W drugą rocznicę śmierci K. I. Gałczyńskiego, w całym kraju odbyły się wieczory poświęcone jego twórczości. Na wieczór zorganizowany w Stowarzyszeniu Dziennikarzy w Warszawie, przybyła Natalia Gałczyńska z córką, a sala wypełniona była do ostatniego miejsca. Utwory poety czytało trzech artystów, jeden zaś śpiewał je przy akompaniamencie gitary. Nową, ciekawą interpretację wierszy dał Tadeusz Łomnicki.

Ilu nas jest?

(y) Według najnowszych statystyk zaludnienie na kuli ziemskiej w roku 1955 przedstawiało się następująco: Azja — 1,6 miliarda, Europa — (wraz ze Związkiem Radzieckim) — 648 milionów, Ameryka Północna i Południowa — 380 milionów, Afryka — 198 milionów, Australia i Nowa Zelandia — 11 milionów mieszkańców. Jest nas jak widać nie mało.

Dziękujemy!

(l) Nowy film polski, zbyt ostro krytykowany przez prasę „Irena do domu" (patrz recenzja małżeństwa Kernów obok) reklamuje bardzo ładnie tygodnik „Przekrój". Bo bohaterka filmu właśnie z naszego pisma uczy się jazdy samochodem (kiedyś drukowaliśmy krótki kurs dla kierowców-samouków). Dziękujemy i prosimy o więcej (niekoniecznie tylko reklamy, ale przede wszystkim dobrych, lekkich komedii)

Gdzie jelenie?

(o) Związek Plastyków przystąpił do kolejnej ofensywy i rozpisał następną subskrypcję grafiki. Na warszawskiej wystawie znajduje się 60 pięknych litografii, miedziorytów i innych dzieł, które każdy może zakupić za 40—70 złotych. Subskrypcja cieszy się dużym powodzeniem (w zeszłym roku sprzedano 10,000 egzemplarzy). Podobno tylko niektórzy klienci mają jednak żal do artystów, że tak mało przedstawili zgrabnych jeleni, złotego słońca z promieniami i rozpędzonych rumaków... My nie.

Dali w Meksyku

(l) Głośny — dzięki swym słynnym ekstrawagancjom — malarz surrealistyczny Salvador Dali, przybył niedawno do Meksyku wioząc ze sobą 30 sztuk bagażu i małego krokodyla. Udzielając wywiadu przedstawicielowi tygodnika „Manana", Dali raz jeszcze podkreślił swe samouwielbienie. „Do tego by być geniuszem, potrzeba dwóch rzeczy — oświadczył — być Hiszpanem i nosić nazwisko Salvador Dali"...



— O tym decydują rodzice, Alfredzie. Gdyby to ode mnie zależało, bez wahania odpowiedziałabym ci NIE...

TO i OWO

Oryginalnie „reguluje się" przyrost ludności w miasteczku Reichenberg (Dania). Nad miejscowym Urzędem Stanu Cywilnego widnieje szyld: „Na urodziny przeznacza się czwartek i piątek, godziny 9—12".

*

Policji francuskiej udało się złapać od dawna poszukiwanego kasiarza Peretti, „autora" kilku napadów na rozmaite banki. Peretti przyznał się do winy, gdy jednak podczas procesu zarzucono mu napad na Bank Regionalny, gorąco zaprotestował: — Jak mogłem włamać się do tego banku? Przecież tam właśnie mam swoje konto.

*

Pewien jubiler nowojorski wymyślił pierścionek „rozwodowy" by rozwódkę można było od razu rozpoznać. Jest on zrobiony z czarnego metalu i ozdobiony siedmioma kamieniami.

WSZYSCY KRÓLOWIE SĄ ANGLIKAMI?

ŻYJE SOBIE w Niemczech pewien książę, którego znaczna część majątku znajduje się w Austrii. Majątek ten uznany został po wojnie za mienie poniemieckie i miał przepaść na rzecz skarbu austriackiego, ponieważ książę Ernest August (z rodziny książąt hanowerskich) był obywatelem III Rzeszy. Ale sprytny książę — a raczej jego adwokaci — wpadli na genialny pomysł. Wygrzebali angielskie prawo z 1705, które nadawało brytyjskie obywatelstwo wszystkim bez wyjątku potomkom Zofii Hanowerskiej, matki króla Jerzego I.

Anglicy znani są ze swego kultu dla tradycji i niechęci do zmian prawnych i obyczajowych. Sąd brytyjski zgodził się więc na zastosowanie prawa z 1705 r. i uznanie, że książę Ernest-August może być obywatelem brytyjskim.

Gdyby uznać to za precedens i zastosować prawo z 1705 r. do wszystkich żyjących potomków księżnej Zofii to miałoby to nieoczekiwane konsekwencje. Ich pełna lista obejmuje bowiem ni mniej ni więcej tylko 24 strony almanachu „Debreit", który w Anglii spełnia rolę almanachu gotajskiego i obejmuje wszystkich „dobrze urodzonych" tego świata! Obywatelami brytyjskimi byliby m. in. królowie Gustaw szwedzki, Haakon norweski, Fryderyk duński, Boduen belgijski, byli królowie Michał rumuński, Piotr jugosłowiański itp. Nie licząc dziesiątków książąt (także rosyjskich), setek hrabiów i zwykłych śmiertelników, a „nawet", jak stwierdzają ze zgrozą Anglicy — Amerykanów!

Tymczasem książę Ernest-August zaciera ręce: nie tylko, że jako obywatel angielski uniknie konfiskaty swych dóbr w Austrii, ale co więcej, jako nowoupieczony Anglik ma zamiar zażądać tytułu księcia Cumberlandu i miejsca w Izbie Lordów, które mu się prawnie należy!

Najzabawniejsze zaś jest to, że skoro Ernest August jest Anglikiem, to był nim także jego dziadek, cesarz niemiecki Wilhelm II. Powstaje więc problem, czy po zakończeniu I wojny światowej nie należało Kaizera postawić przed sądem o zdradę stanu i bunt przeciw prawowitemu władcy, którym był przecież król angielski?

KW.

DEMOKRATYCZNY SAVOIR VIVRE W ODCINKACH

opracował: Jan Kamyczek

CZYTELNICZKA w Brwinowie. „Czy na wesele należy się ubrać w czarną sukienkę? Ja ubrałam się w popielatą, natomiast moje sąsiadki przy weselnym stole były na czarno i jedna z nich zwróciła mi uwagę, że ubrałam się niestosownie." — Nie miała racji. Właśnie należy unikać czarnych sukien na weselu. Ubrała się pani bez pudła.

ZAKATARZONY w Legnicy. „Gdzie zdaniem DSV trzeba nosić chustkę do nosa: w kieszeni od spodni, czy też w wewnętrznej kieszeni marynarki?" — Można tak i tak. Eleganci (Jerzy Skarżyński) noszą w marynarce.

ANNA K. „Dowiedziałam się, iż nasza sąsiadka jest kleptomanką. Korzysta ona czasem z naszego telefonu. Co robić? Czy ją wpuszczać?" — Tak. I dyskretnie pilnować.

KAZIK w Krakowie. „Natura okazała się dla mnie niezbyt szczodra. A raczej zbyt. Mam potwornie długi nos. Sympatia twierdzi, że za mnie nie wyjdzie, gdyż stanowilibyśmy śmieszny kontrast." — Długim nosem odznaczało się wielu słynnych w historii amantów. Nie mówiąc już o Dantem i o Casanovie, taki na przykład Franciszek I miał nos długości legendarnej, a podobnego wzięcia u kobiet każdemu życzylibyśmy. Tak więc nos mężczyzny nie hańbi. Sympatii zaś należy wytłumaczyć, że nie nos trzeba mierzyć, tylko serce.

MARIOLA w Łodzi. „Moje współlokatorki wczasowe przy każdym wyjściu z pokoju mówiły „przepraszam" a przy każdym wejściu pukały. Ponieważ tego nie robiłam, uznały mnie za nieinteligentną." — Miała pani rację, nie przepraszając i nie pukając, bo nie puka się do pokoju, w którym się mieszka. Co do inteligencji, to z pewnością nie wykazały jej współlokatorki, robiąc taką uwagę.

GDAŃSZCZANIN. „Co zrobić z krążkiem cytryny, leżącym na kotlecie?" — Przydusić widelcem, by sok wyciekł do kotleta, a potem odłożyć na bok talerza.

DANUTA w Poznaniu. „Mam powiększoną tarczycę, jak wybrnąć z dekoltem?" — Dekolt wyciąć, bo na wieczór jest modny, a na szyję włożyć kilka sznurków perełek ciasno obejmujących i zachodzących na szyję (naszyjnik typu „obróżka"), bo to jest bardzo noszone a jednocześnie maskuje.

M. B. w Gdańsku. „Półtora roku temu pożyczyłem koleżance 200 złotych. Po miesiącu oddała 50, o reszcie ani słychu, mimo że upominałem się listownie. Może wzmianka o tym w DSV wpłynie na koleżankę, bo wiem że tę rubrykę czytuje". — Ha, może. W tej nadziei drukujemy.

S. W. w Szczecinie. „Czy można iść na zabawę wyłącznie w towarzystwie koleżanek (nie mam chłopca)?" — Można. Chłopcy nie spadają z nieba, tylko właśnie z sufitu tanecznej sali.

STUDENTKA w W-wie. „Przyjechała do mnie koleżanka i postanowiła pójść ze swą sympatią na bal inauguracyjny naszej uczelni. Wiedziała, że ja pójść nie mogę, bo zerwałam z chłopcem i przeżywam. Wcale się tym nie krępując, na moich oczach wystroiła się i poszła. Czy to ładnie?" — To prawda, że mogła okazać subtelne skrupuły. Ale też prawda, że powinna była pani te skrupuły energicznie jej wyperswadować i już bez dalszych ceremonii z jej strony wysłać ją na bal, pożyczając nawet własnych perełek. Wielkoduszność daje dużo satysfakcji.



— To jest mój nowy garnitur, uszyty z 55 centymetrów...

Film IRENA do DOMU



IRENA DO DOMU: Scenariusz: Wilińska i Potemkowski. Reżyseria: Jan Fethke. Role główne: Adolf Dymsza, Lidia Wysocka, Hanna Bielicka, Maria Koterbska, Ludwik Sempoliński. Na zdjęciu: Koterbska, Dymsza, Wysocka w jednej ze scen filmu

„Irena do domu" — to film, proszę pana.
Ten film grają teraz na naszych ekranach.

Nim film ten w atelier nakręcać zaczęto,
niejedno mi o nim cichutko szepnięto.

Że kiepski scenariusz, że straszny ma tytuł,
że już jest do bani, a będzie do kitu.

Kręcono go jednak. Po pewnym zaś czasie
zaczęły recenzje pojawiać się w prasie.

A pierwsze mniej więcej przed jakimś pół rokiem,
a wszystkie pisane przez duchy głębokie.

Przeważnie ganiono, niekiedy krzyczano,
a często po prostu ramieniem wzruszano.

Gdym znał już na pamięć, co piszą duchowie,
zaczęto wyświetlać film w moim Krakowie.

Udało się jakoś wytrzymać przez tydzień,
lecz potem się człowiek załamał, o wstydzie!

I z żoną, nic o tym nie mówiąc nikomu,
poszliśmy na ową „Irenę do domu!"

I ciemno się w końcu zrobiło na sali
i wszyscy w ciemnościach bez przerwy się śmiali.

My z żoną z początku się jakoś trzymamy,
my wiemy, co myśleć, recenzje czytamy.

Lecz wreszcie nas wzięła chęć śmiechu przemożna,
choć wiem, że to straszne, choć wiem, że nie można.

Śmialiśmy się bardzo, ze skruchą wyznaję,
i jeszcze w dodatku szturchali nawzajem.

O, wielcy duchowie, wyznaję to wam,
że film ten obojgu podobał się nam.

L. J. i M. Kernowie



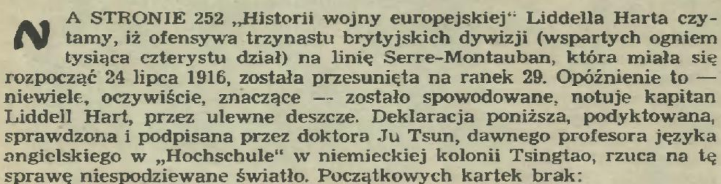
Continente Perduto

czyli Zaginiony Kontynent, to pełnometrażowy, szeroko ekranowy film dokumentarny, nakręcony przez włoską ekspedycję filmową na pięknych i tajemniczych terenach wysp Jawa, Borneo, Bali i in. Krytyka zachodnio-europejska stwierdza, że film ten jest wielkim osiągnięciem i stanąć może na równi ze wspaniałymi realistycznymi filmami włoskimi pierwszych lat powojennych. Na zdjęciu pochodzącym z „Zaginionego kontynentu" — jedna z pięknych dziewcząt jakie — według zapewnień włoskich realizatorów — spotkać można na każdej z „Tysiąca szczęśliwych wysp" Sunda.



Nasza wciąż jeszcze zbyt uboga literatura teatrologiczna wzbogaciła się ostatnio o dwie cenne pozycje: **„Szkice teatralne" Wojciecha Natansona** (Wydawnictwo Literackie, str. 214), oraz **„Listy ze sceny" Erwina Axera** („Czytelnik", str. 258). Natanson w dwudziestu trzech esejach przedstawia wiele oryginalnych poglądów na twórczość Mickiewicza, Słowackiego, Fredry, Moliera i innych wielkich klasyków dramatu i komedii. Ich wybrane utwory omawia w związku z ich realizacjami scenicznymi teatrów polskich i zagranicznych (Jouvet, Vilar).

Autorem „Listów ze sceny" nie jest literat, lecz reżyser i dyrektor teatru. Tym ciekawsze są dla „zwykłego" czytelnika jego uwagi o repertuarze, aktorach, szkolnictwie artystycznym. Erwin Axer, kierownik jednej z najciekawszych scen w Polsce (ostatnio nawet dwóch), okazał się interesującym publicystą. Książka aktualna i potrzebna. Wszystkim, interesującym się sprawami teatru radzimy przeczytać obydwie omawiane książki. (k.)



NA STRONIE 252 „Historii wojny europejskiej" Liddella Harta czytamy, iż ofensywa trzynastu brytyjskich dywizji (wspartych ogniem tysiąca czterystu dział) na linię Serre-Montauban, która miała się rozpocząć 24 lipca 1916, została przesunięta na ranek 29. Opóźnienie to — niewiele, oczywiście, znaczące — zostało spowodowane, notuje kapitan Liddell Hart, przez ulewne deszcze. Deklaracja poniższa, podyktowana, sprawdzona i podpisana przez doktora Ju Tsun, dawnego profesora języka angielskiego w „Hochschule" w niemieckiej kolonii Tsingtao, rzuca na tę sprawę niespodziewane światło. Początkowych kartek brak:

„...zawiesiłem słuchawkę. Po chwili poznałem głos, który odpowiedział mi po niemiecku. Był to głos kapitana Ryszarda Maddena. Obecność Maddena w gabinecie Wiktora Runeberga oznaczała koniec moich niepokojów, a także — ale to wydawało się drugorzędne, albo przynajmniej *powinno było wydawać się drugorzędne* — mojego życia. Obecność ta znaczyła, że Runeberg został aresztowany albo zabity. Zanim dzisiejsze słońce zniknie na horyzoncie, spotka mnie podobny los. Madden był nieubłagany. Lub raczej, musiał być nieubłagany. Był Irlandczykiem na służbie angielskiej, oskarżanym nieraz o obojętność lub może o zdradę — jakżeby więc nie skorzystał i nie był losowi wdzięczny za możliwość odkrycia, pojmania, i — być może — rozstrzelania dwu agentów Cesarstwa Niemieckiego? Wróciłem do mego pokoju; zamknąłem bezsensownie drzwi na klucz i wyciągnąłem się na żelaznym łóżku. Za oknem widziałem, jak zwykle, dachy Londynu — i zamglone słońce o szóstej po południu. Wydało mi się nieprawdopodobne, aby ten dzień bez symbolów i złowróżbnych znaków był dniem mej nieuchronnej śmierci. Tak więc — mimo śmierci mego ojca, mimo dzieciństwa, jakie spędziłem w symetrycznym ogrodzie w Hai Feng — i ja także miałem teraz umrzeć? Pomyślałem później, że wszystko nam się w końcu musi zdarzyć, nieuchronnie i współcześnie. Mijają wieki, ale wszystko, co się staje, dzieje się tylko w teraźniejszości; niezliczeni ludzie na lądach, morzach i w powietrzu, wszystko, co przynosi czas, rozgrywa się naprawdę także we mnie... Wspomnienie końskiej twarzy Maddena, prawie nie do zniesienia, przerwało moje dywagacje. Pełen nienawiści i przerażenia (dziś nie chcę już mówić o przerażeniu, choć czeka mnie niechybnie szubienica — wyprowadziłem w pole Ryszarda Maddena) myślałem, że ten hałaśliwy i szczęśliwy zapewne wojownik nie podejrzewa nawet, iż jestem w posiadaniu tajemnicy: nazwy miejsca, gdzie zgromadzono nad rzeką Ancre brytyjski park artyleryjski. Ptak przeciął szare niebo i wyobraziłem sobie machinalnie samolot, później całą gromadę samolotów (we francuskim niebie), która by zniszczyła artyleryjski park pionowymi wybuchami bomb. Gdyby tylko moje usta, zanim zostaną roztrzaskane przez kulę, mogły przekrzyczeć zgiełk wojny i przekazać wiadomość do Niemiec... Mój ludzki głos był jednak bardzo nikły. Jakżeby mógł dobiec do uszu Szefa? Do uszu chorego i podłego człowieka, który o Runebergu i o mnie wiedział tylko tyle, że jesteśmy gdzieś w Staffordshire i który nadaremnie oczekiwał od nas wiadomości, przeglądając nieustannie dzienniki w swym surowym berlińskim biurze. Powiedziałem cicho: *Muszę uciekać.* Podniosłem się bezszelestnie, w niepotrzebnie całkowitej ciszy, jak gdyby Madden czyhał tuż na mnie za drzwiami. Coś — może tylko chęć namacalnego przekonania się, że moje środki są już żadne — kazało mi przetrząsnąć kieszenie. Znalazłem tam tylko to, co spodziewałem się znaleźć: amerykański zegarek, niklową dewizkę z kwadratową monetą, pęk kompromitujących i niepotrzebnych już kluczy do biurka Runeberga, paszport, list, który postanowiłem natychmiast zniszczyć (i którego nie zniszczyłem), koronę, dwa szylingi i kilka pensów, mój czerwono-niebieski ołówek, chusteczkę i nabity jedną kulą rewolwer. Wziąłem go do ręki i zważyłem absurdalnie w dłoni, aby dodać sobie odwagi. Pomyślałem niejasno, że strzał z rewolweru można dosłyszeć nawet z bardzo daleka. W dziesięć minut plan był gotowy. Książka telefoniczna podała mi nazwisko jedynej osoby, która mogła przekazać wiadomość: zamieszkiwała na przedmieściu Fenton, odległym o niecałe pół godziny koleją.

Jestem tchórzem. Mówię to dzisiaj, dzisiaj, kiedy wykonałem plan, którego nikt nie uzna za ryzykowny. Wiem, że wykonanie tego planu było straszliwe. Nie zrobiłem tego dla Niemiec, o nie. Mało obchodzi mnie barbarzyński kraj, który zmusił mnie do poniżającego rzemiosła szpiega. Poza tym znam Anglika — człowieka skromnego — który jest dla mnie co najmniej tym, czym był niegdyś Goethe. Nie rozmawiałem z nim dłużej niż godzinę, ale, w czasie tej godziny, był dla mnie Goethem... Zrobiłem to, ponieważ czułem, że Szef pogardza ludźmi mojej rasy — niezliczonymi przodkami, którzy łączą się we mnie. Chciałem mu udowodnić, że pogardzany może ocalić jego armie. A także — musiałem umknąć przed kapitanem... Ręce Maddena mogły zastukać, głos zawołać mnie lada chwila u drzwi. Ubrałem się cicho, powiedziałem sobie do widzenia w lustrze, zszedłem, obejrzałem bacznie ulicę i opuściłem hotel.

Dworzec był niedaleko, ale uznałem, że lepiej będzie pojechać dorożką. Myślałem, że trudniej mnie będzie tak rozpoznać; w rzeczywistości czułem się w wyludnionej ulicy nieskończenie widocznym i bezbronnym. Przypominam sobie, że kazałem dorożkarzowi zatrzymać się nieco przed głównym wejściem. Wysiadłem z celową i prawie bolesną powolnością: jechałem do osiedla Ashgrove, kupiłem jednak bilet do odleglejszej stacji. Pociąg odchodził za kilka minut, o ósmej pięćdziesiąt. Pośpieszyłem się; następny odjeżdżał o dziewiątej trzydzieści. Na peronie nie było prawie nikogo. Przebiegłem przez wagony, przypominam sobie paru chłopów, kobietę w żałobie, młodego człowieka, który czytał z zapałem „Annales" Tacyta, rannego i szczęśliwego żołnierza. Pociąg ruszył wreszcie. Mężczyzna, którego poznałem, biegł na próżno za wagonami aż do końca peronu. Był to kapitan Ryszard Madden. Przerażony, drżący skuliłem się w przeciwległym rogu ławki, z dala od groźnej szyby.

Przerażenie zmieniło się po chwili w radość — prawie obrzydliwą. Mówiłem sobie, że rozpoczął się między nami pojedynek i że wygrałem pierwszą rundę, odpierając — choćby na czterdzieści minut, choćby przez szczęśliwy traf — atak mego przeciwnika. Wywnioskowałem stąd, że to skromne zwycięstwo zapowiadało zwycięstwo ostateczne. Z tego zaś wyciągnąłem znów wniosek, że zwycięstwo moje nie było wcale takie skromne, bowiem bez drogocennej różnicy czterdziestu minut byłbym już martwy, albo w więzieniu. Stąd zaś wywnioskowałem (równie niewłaściwie), że moja radość tchórza oznaczała, iż stać mnie na szczęśliwe doprowadzenie do końca całej sprawy. W swej słabości odnalazłem siły, które mnie już nie opuściły. Przewiduję, że człowiek pogodzi się z coraz to okropniejszymi przedsięwzięciami; wkrótce na świecie zostaną tylko wojownicy i bandyci; przekazuję im tę oto radę: *ten, kto porywa się na rzeczy przerażające, winien sobie zawsze wyobrazić, że już ich dokonał, musi wyznaczyć sobie przyszłość równie nieodwołalną, co przeszłość.*

Tak też postąpiłem, podczas gdy moje oczy, oczy człowieka już martwego, obserwowały pilnie upływający dzień — może ostatni — i ogarniającą wszystko noc. Pociąg biegł łagodnie między sosnami. Zatrzymał się jakby w pustym polu. Nikt nie zawołał nazwy stacji. *Ashgrove?* — spytałem dzieci na peronie. *Ashgrove* — usłyszałem w odpowiedzi. Wysiadłem. Lampa oświetlała peron, ale twarze dzieci pozostawały w cieniu. Jedno zapytało: *Idzie pan do doktora Stephena Alberta?* Zanim odpowiedziałem, inne dodało: *Doktór mieszka daleko, ale nie zabłądzi pan, jeśli pójdzie pan tą drogą w lewo i na każdym skrzyżowaniu będzie pan zawsze skręcał w lewo.* Rzuciłem im monetę (ostatnią), zszedłem w dół po kilku kamiennych schodkach i skierowałem się na pustą drogę. Schodziła łagodnie w dół, błądząc wśród łąk. Gałęzie łączyły się nade mną, niski i pyzaty księżyc zdawał mi się towarzyszyć. Przez chwilę sądziłem, że Ryszard Madden przeniknął mój rozpaczliwy plan. Zrozumiałem szybko, że to niemożliwe. Rada dziecka, abym zawsze skręcał w lewo, przypomniała mi, że był to zwykły sposób dochodzenia do centralnego pola pewnych labiryntów.

Znam się nieco na labiryntach: nie na darmo jestem prawnukiem sławnego Ts'ui Pena, gubernatora Junanu. Porzucił on doczesną władzę, aby pisać powieść, która stałaby się bardziej popularna niż „Hung Lu Meng" i aby zbudować labirynt, w którym zgubiliby się wszyscy ludzie na świecie. Poświęcił trzynaście lat na te sprzeczne zamysły. Zginął wreszcie z ręki cudzoziemca. Powieść okazała się bezsensowna i nikt nie odnalazł labiryntu. Medytowałem pod angielskimi drzewami nad tym zagubionym labiryntem: wyobrażałem go sobie na wierzchołku tajemnej góry, gdzie nie postała dotąd stopa; pod wodą albo zgubionego wśród ryżowych pól; wyobrażałem sobie, że jest nieskończony, złożony nie z ośmiobocznych altanek i skręcających ścieżek, ale z rzek, prowincji i królestw... Myślałem o labiryncie labiryntów, arabeskowym, rozszerzającym się labiryncie, który by obejmował przeszłość i przyszłość i w pewien sposób ogarniał także gwiazdy. Pogrążywszy się w te jałowe rozważania, zapomniałem o swym własnym losie ściganego człowieka. Poczułem, na nieokreśloną chwilę, że pojmuję świat abstrakcyjnie i bezcieleśnie. Niejasny, ale pełen ukrytego życia krajobraz, księżyc, wspomnienia popołudnia wpłynęły na stan mego ducha, podobnie jak spadek terenu, który zapobiegał zmęczeniu. Wieczór był kojący i nieskończony. Ścieżka schodziła i rozwidlała się wśród zamglonych już łąk. Piskliwa i jakby sylabiczna muzyka zbliżała się i oddalała wśród podmuchów wiatru, osłabiona odległością i listowiem. Myślałem, że człowiek może być wrogiem innych ludzi, ale nigdy ziemi: świetlików, ogrodów, potoków, zachodów.

Tymczasem doszedłem do wielkiej zardzewiałej bramy. Patrząc przez kraty rozpoznałem aleję i jakby willę. Zrozumiałem nagle dwie rzeczy, pierwszą banalną, a drugą prawie nie do wiary: muzyka pochodziła z willi i muzyka ta była chińska. Dlatego właśnie pogodziłem się z nią od razu, nie zwracając uwagi. Nie pamiętam już, czy w bramie był dzwonek czy kołatka, czy też dałem o sobie znać, klaszcząc w dłonie. Piskliwa muzyka rozbrzmiewała dalej.

Ale z głębokiego cienia domu wynurzył się lampion, na który padał czasem kratkowany cień gałęzi, papierowy lampion w kształcie bębna i o barwie księżyca. Niósł go mężczyzna wysokiego wzrostu. Nie widziałem twarzy, bowiem oślepiało mnie światło. Otworzył bramę i powiedział wolno w mym ojczystym języku:

— Widzę, że czcigodny gość pragnie złagodzić moją samotność. Pragnie pan zapewne zobaczyć ogród?

— Ogród? — odparłem, zbity z tropu.

— Ogród o rozwidlających się ścieżkach.

Coś nieposkromionego poruszyło się w mej świadomości i odparłem z niezrozumiałą pewnością:

— Ogród mego przodka Ts'ui Pen.

— Pańskiego przodka? Pańskiego dostojnego przodka? Proszę wejść.

Wilgotna ścieżka prowadziła nas zygzakami, jak ścieżki mojego dzieciństwa. Weszliśmy do biblioteki, pełnej wschodnich i europejskich książek. Poznałem kilka oprawnych w żółty jedwab tomów "Zgubionej Encyklopedii", którą redagował Trzeci Cesarz Świetlistej Dynastii i której nigdy nie oddano do druku. Płyta gramofonowa kręciła się obok brązowego feniksa. Przypominam sobie także wielki dzban w stylu „różowym" i inny, wcześniejszy o kilka wieków, w kolorze błękitnym, który nasi rzemieślnicy skopiowali z dzieł perskich garncarzy...

Stephen Albert uśmiechał się, patrząc na mnie uważnie. Był (jak już wspomniałem) bardzo wysoki, rysy miał delikatne, oczy szare, brodę szpakowatą. Było w nim coś z księdza i coś z marynarza; opowiedział mi później, że był misjonarzem w Tientsinie, „zanim zaczął się starać zostać sinologiem".

Usiedliśmy; ja na długim i niskim tapczanie; on plecami do okna i do wielkiego okrągłego zegara. Wyliczyłem, że ścigający mnie Madden nie może przybyć tu wcześniej niż za godzinę. Moja nieodwołalna decyzja mogła poczekać.

— Przedziwny był zaiste los Ts'ui Pena — rzekł Stephen Albert. — Był gubernatorem swej ojczystej prowincji, biegłym w astronomii, astrologii i nieznużonym w interpretowaniu kanonicznych ksiąg, był znakomitym szachistą, sławnym poetą i kaligrafem. A jednak porzucił wszystko, aby ułożyć powieść i labirynt. Porzucił rozkosze ucisku i sprawiedliwości, uczt, łoża pełnego kobiet i nawet erudycji, aby zamknąć się na trzynaście lat w Pałacu Przejrzystej Samotności. Po śmierci spadkobiercy odnaleźli tylko chaotyczne manuskrypty. Rodzina — wie pan zapewne doskonale —

chciała rzucić je w ogień; ale wykonawca testamentu — buddyjski czy taoistyczny mnich — nalegał, aby je opublikować.

— Ludzie plemienia Ts'ui Pena — odparłem — przeklinają mnicha do dziś. Publikacja książki była nonsensem. Jest to niejasny, pełen sprzeczności brulion. Badałem go niegdyś: w trzecim rozdziale bohater umiera, w czwartym jest znów żywy. Jeśli zaś idzie o drugie przedsięwzięcie Ts'ui Pena, o labirynt...

— Oto labirynt — rzekł Albert, wskazując wielkie lakowane biurko.

— Labirynt z kości słoniowej! — zawołałem. — Malutki labirynt...

— Labirynt symboli — poprawił. — Niewidoczny labirynt czasu. Mnie właśnie, angielskiemu barbarzyńcy, dane zostało odkrycie tej przejrzystej tajemnicy. Po przeszło stu latach nie można dokładnie odtworzyć szczegółów, ale nie trudno odgadnąć, jak się to odbyło. Ts'ui Pen powiedział prawdopodobnie pewnego dnia: *Odchodzę, aby napisać książkę*. Zaś innego: *Odchodzę, aby zbudować labirynt*. Wszyscy wyobrazili sobie, że Ts'ui Pen postawił sobie dwa zadania; nikomu nie przyszło na myśl, że książka i labirynt stanowią jedno. Pałac Przejrzystej Samotności wznosił się zapewne w gąszczach dzikiego ogrodu; nasunęło to ludziom myśl, że labirynt miał być materialny. Ts'ui Pen umarł; nikt nie znalazł w jego rozległych włościach labiryntu; pomieszanie, jakie znać w jego powieści, kazało mi przypuścić, że labiryntem jest książka. Rozwiązanie zagadki umożliwiły mi dwie okoliczności. Po pierwsze, zastanawiająca legenda, według której Ts'ui Pen postanowił zbudować labirynt absolutnie nieskończony; po drugie zaś — fragment listu, który udało mi się odnaleźć.

Albert wstał. Przez chwilę stał tyłem do mnie; otworzył szufladkę starego pozłacanego sekretarzyka. Wrócił z kartką papieru niegdyś purpurowego, dziś różowego, cienkiego i oprawionego w ramki. Sława kaligrafa, jaką się cieszył Ts'ui Pen, była w pełni usprawiedliwiona. Przeczytałem ze czcią kilka niezrozumiałych słów, które nakreślił niegdyś starannym pędzelkiem członek mej rodziny: *Pozostawiam rozlicznym przyszłościom (nie wszystkim) mój ogród o rozwidlających się ścieżkach*. Zwróciłem w milczeniu kartkę. Albert ciągnął:

— Zanim jeszcze odkryłem ten list, zastanawiałem się, jak książka może być nieskończona. Nie umiałem założyć innej możliwości, niż dzieła cyklicznego i okrężnego, dzieła, którego ostatnia stronica byłaby identyczna z pierwszą, tak, że powieść mogłaby trwać nieskończenie. Wspomniałem także ową noc, która znajduje się w baśniach z „1001 Nocy", kiedy to Szeherezada (dzięki zadziwiającej pomyłce kopisty) zaczyna słowo po słowie opowiadać historię 1001 Nocy, tak, że mogłaby dojść znowu do nocy, w której rozpoczęła na nowo swe opowieści, i tak bez końca. Wyobraziłem sobie również dzieło dziedziczne, przekazywane przez ojca synowi, w którym każdy nowy potomek dodawałby rozdział lub poprawił z nabożnym staraniem stronice swych przodków. Domysły te zmyliły mnie jednak; żaden nie odpowiadał. nawet w przybliżeniu, sprzecznym rozdziałom Ts'ui Pena. Wówczas właśnie, w całkowitej niepewności, otrzymałem z Oxfordu manuskrypt, który pan oglądał. Oczywiście zatrzymałem się na zdaniu: *Pozostawiam rozlicznym przyszłościom (nie wszystkim) mój ogród o rozwidlających się ścieżkach*. Zrozumiałem prawie natychmiast; *ogród o rozwidlających się ścieżkach* to oczywiście chaotyczna powieść; słowa *rozlicznym przyszłościom (nie wszystkim)* nasunęły mi myśl o rozwidleniu w czasie, nie w przestrzeni.

Nowa pełna lektura dzieła potwierdziła tę teorię. We wszystkich zmyśleniach, ilekroć staje przed autorem kilka możliwych rozwiązań, obiera on jedno i usuwa inne; w zmyśleniach Ts'ui Pena, właściwie nie do rozwiązania, pański przodek obierał wszystkie — jednocześnie. *Stwarzał* w ten sposób rozliczne przyszłości, rozliczne czasy, które również mnożą się i rozwidlają. Stąd płyną sprzeczności powieści. Bohater powieści, Fang, na przykład, znalazł się w posiadaniu pewnej tajemnicy; nieznajomy stuka do drzwi; Fang postanawia go zabić. Oczywiście istnieje kilka możliwych rozwiązań: Fang może zabić intruza, intruz może zabić Fanga, obaj mogą ocaleć, obaj mogą zginąć i tak dalej. W dziele Ts'ui Pena następują wszystkie rozwiązania; każde staje się punktem wyjścia dla nowych rozwidleń. Czasem ścieżki owego labiryntu zbiegają się; na przykład: pan przychodzi do mnie, ale w jednej z pańskich przeszłości jest pan moim wrogiem, a w innej — przyjacielem. Jeśli potrafi się pan pogodzić z moją wymową, której niestety nic nie zdoła udoskonalić, przeczytamy wspólnie kilka stron.

Twarz Alberta była w jaskrawym półkolu lampy twarzą starca, miała jednak w sobie coś niezłomnego i wiecznego. Przeczytał z powolną dokładnością dwie redakcje tego samego epicznego rozdziału. W pierwszej armia idzie do boju przez pustynne góry; wstręt przed kamieniami i cieniem sprawia, że żołnierze nie dbają o życie i odnoszą zwycięstwo. W drugiej ta sama armia, idąc do boju, przechodzi przez pałace, w których odbywa się uczta; olśniewająca bitwa wydaje się żołnierzom dalszym ciągiem uczty i odnoszą zwycięstwo. Słuchałem z należną czcią owych starych zmyśleń, mniej może godnych podziwu, niż to, że były one dziełem mego własnego przodka i że oto rozjaśniał mi je poddany dalekiego imperium w czasie rozpaczliwej przygody na zachodniej wyspie. Przypominam sobie ostatnie słowa, powtarzające się w obu redakcjach jak tajemny rozkaz: *Tak walczyli bohaterowie, gwałtowną szpadą i spokojnym, wspaniałym sercem, pogodziwszy się z zabójstwem i śmiercią.*

Od tej chwili poczułem wokół mnie i w ciemnościach mego ciała jakby niewidoczne, niedotykalne rojenie się niezliczonych możliwości. Nie rojenie się sprzecznych armii, równoległych i ostatecznie pogodzonych, ale bardziej wewnętrzny i trudniejszy do uchwycenia ruch. którego owe armie były w pewien sposób symbolem. Stephen Albert ciągnął:

— Nie sądzę, aby pański czcigodny przodek bawił się niepotrzebnie w mnożenie wariantów swej księgi. Nie uważam za prawdopodobne, aby poświęcił trzynaście lat na niemożliwe do ukończenia eksperymenty stylistyczne i konstrukcyjne. W pańskim kraju powieść jest gatunkiem podrzędnym; za czasów Ts'ui Pena była gatunkiem godnym pogardy. Ts'ui Pen był genialnym powieściopisarzem, ale był także twórcą, który nie uważał się wyłącznie za powieściopisarza. Świadectwo współczesnych mówi — i jego życie całkowicie to potwierdza — o mistycznych, metafizycznych zamiłowaniach Ts'ui Pena. Spór filozoficzny zajmuje znaczną część jego powieści. Wiem, że nie byłoby problemu, który by go bardziej niepokoił i nad którymby uparciej pracował, niż niezgłębiony problem czasu. Otóż jest to *jedyne* zagadnienie, którego nie ma na stronicach „Ogrodu". Ts'ui Pen nie użył nawet ani razu słowa *czas*. Jak mógłby pan wytłumaczyć to celowe opuszczenie?

Zaproponowałem kilka możliwych rozwiązań; wszystkie jednak okazały się niedoskonałe. Dyskutowaliśmy chwilę; wreszcie Stephen Albert rzekł:

— Jakie jest jedyne zakazane słowo w zagadce, której tematem jest gra w szachy?

Zastanowiłem się chwilę i odparłem:

— Słowo: szach.

— Oczywiście — odparł Albert. — *Ogród o rozwidlających się ścieżkach* jest ogromną zagadką czy parabolą, której tematem jest czas; oto ukryta przyczyna, dla której Ts'ui Pen zakazał sobie wymieniania jego nazwy. Pomijać *zawsze* pewne słowo, odwoływać się do nieścisłych przenośni i oczywistych omówień, to może najlepszy sposób, aby je wskazać. Ts'ui Pen, równie pracowity, co przemyślny, wybrał właśnie ową okrężną metodę. Porównałem setki manuskryptów, poprawiłem omyłki, jakie popełnili niedbali kopiści, odtworzyłem plan chaotycznego „Ogrodu", odkryłem — lub przynajmniej zdaje mi się, że odkryłem — jego właściwy porządek, wreszcie przełożyłem dzieło w całości: I stwierdziłem, że Ts'ui Pen nie użył ani razu słowa *czas*. Wyjaśnienie jest jasne. *Ogród o rozwidlających się ścieżkach* jest obrazem — niepełnym, lecz bynajmniej nie fałszywym — wszechświata takiego, jak go pojmował Ts'ui Pen. W przeciwieństwie do Newtona i Schopenhauera pański przodek nie wierzył w czas jednolity i absolutny. Wierzył, że istnieją nieskończone serie czasów, rosnąca i przerażająca sieć czasów, rozbieżnych, zbieżnych i równoległych. Owa tkanina czasów, które łączą się, rozwidlają, przecinają lub nawet przez wieki o sobie nie wiedzą, obejmuje *wszystkie* możliwości istnienia. Tak więc w większości czasów my dwaj w ogóle nie istniejemy; w niektórych pan istnieje, a ja nie; w innych znów istnieję ja, pana zaś nie ma; w innych wreszcie — istniejemy obydwaj. W obecnym, który został mi przyznany przez łaskawość losu, przyszedł pan mnie odwiedzić; w jeszcze innym, przechodząc przez ogród, zastał mnie pan nieżywego; w jeszcze innym wypowiadam te słowa, ale jestem tylko widmem, złudzeniem.

— We wszystkich — wyszeptałem, i przebiegł mnie dreszcz — pragnę uczcić pańską pracę nad odtworzeniem ogrodu Ts'ui Pena i gorąco za nią panu dziękuję.

— Nie we wszystkich — odparł cicho Albert. — Czas rozwidla się nieustannie ku niezliczonym przyszłościom. W jednej z nich jestem pańskim wrogiem.

Ogarnęło mnie znów owo nieznośne uczucie, o którym już wspomniałem. Wydało mi się, że wilgotny ogród, który otaczał dom, roi się w nieskończoność od tłumów niewidocznych istot. Istotami tymi byłem ja i Albert, my dwaj, tajemniczy, zakłopotani i wielokształtni w innych wymiarach czasu. Podniosłem oczy i przywidzenie rozwiało się rychło. W żółtym i czarnym ogrodzie znajdował się jeden tylko człowiek; ale człowiek ten był silny jak posąg, szedł szybko po ścieżce i był kapitanem Ryszardem Maddenem.

— Przyszłość już istnieje — odparłem — ale pozostałem pańskim przyjacielem. Czy mógłbym jeszcze spojrzeć na list?

Albert wstał. Nachylił się nad sekretarzykiem; na chwilę odwrócił się do mnie plecami. Przygotowałem uprzednio rewolwer. Wystrzeliłem z niezmierną starannością; Albert zwalił się na ziemię bez skargi, w okamgnieniu. Przysięgam, że skonał na miejscu: jakby poraził go grom.

To, co nastąpiło później, było nierzeczywiste i nic nie znaczące. Do pokoju wpadł Madden i aresztował mnie. Zostałem skazany na śmierć przez powieszenie. Zwyciężyłem jednak — niegodnie: przekazałem Berlinowi sekretną nazwę miasta, które należało zaatakować. Zbombardowano je wczoraj; przeczytałem o tym w tych samych dziennikach, które nieco wcześniej rozgłosiły całej Anglii zagadkową wiadomość: uczony sinolog Stephen Albert został zamordowany przez człowieka, nazwiskiem Ju Tsun. Szef rozwiązał zagadkę. Wie, że moim zadaniem było wskazanie (poprzez zgiełk wojny) miasta, które nazywa się Albert i że nie znalazłem innej możliwości, niż zamordowanie człowieka o takim nazwisku. Nie wie jednak nic — i nikt nie może wiedzieć — o moim nieskończonym zmęczeniu i wstydzie".

Na tym kończy się relacja Ju Tsuna.

JORGE LUIS BORGES

Tłum.: ANIELA GORZKOWSKA

Winieta Jerzego Skarżyńskiego

JORGE LUIS BORGES — lat 56, narodowość argentyńska, zawód — dziennikarz i literat. Autor kilku niewielkich książek, złożonych z krótkich opowiadań. Borges tworzy prawie wyłącznie opowiadania fantastyczne: w jednym np. zakłada, że świat jest olbrzymią biblioteką, w innym opowiada losy człowieka, który w rzeczywistości był tylko snem innego człowieka itp. Kanwę opowiadań Borgesa stanowią na ogół żartobliwie traktowane fantazje filozoficzne. Borges łączył czasem elementy fantastyczne z chwytami noweli kryminalnej, jak w drukowanym tu obok opowiadaniu o szpiegu z czasów pierwszej wojny światowej.

WYDAWCA INSTYTUT PRASY „CZYTELNIK"

REDAKTOR NACZELNY MARIAN EILE

DRUKARNIA NARODOWA PRZEDS. PAŃSTWOWE, KRAKÓW, MANIFESTU LIPCOWEGO 19

ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, UL. MANIFESTU LIPCOWEGO 19, TEL. 559-54
PRZY ADRESIE REDAKCJI PROSIMY DODAĆ: KRAKÓW I, SKRYTKA POCZTOWA 533
ADRES ADMINISTRACJI: DELEGATURA RSW „PRASA" KRAKÓW, UL. WIŚLNA 2, III p. TEL. 558-62 — 588-41
BIURO OGŁOSZEŃ I REKLAM RSW „PRASA" Kraków, Rynek Główny 46/I p. tel. 553-40

Warunki prenumeraty: Cena — kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.—. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmują placówki pocztowe i listonosze tylko na wsi i w miejscowościach nie posiadających kiosków gazetowych, do dnia 10-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. — Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę, udziela Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch", Warszawa, Al. Jerozolimskie 119, tel. 805-05. Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów, fotografii i rysunków. Za dział ogłoszeń, Redakcja nie bierze odpowiedzialności.

CZYTELNIK

M-6-4488

NUMER NINIEJSZY ODDANO DO DRUKU DNIA 14-GO GRUDNIA 1955 ROKU

W ROZGŁOŚNI

Rys. Eryk Lipiński

NA PEWNĄ AMANTKĘ

Odjąć jej ręce
I czterdzieści kilo,
A każdy powie,
Że to Wenus z Milo!

B. BRZEZIŃSKI

URZĘDOWSZCZYZNA

Powiatowy Zarząd Łączności w Pabianicach przesłał swym abonentom spis abonentów sieci telefonicznej. Na pierwszej stronie owego spisu podano 18 wskazań jak należy się obchodzić z aparatem. Między innymi wskazanie 6 brzmi:

W wypadku zajętości żądanego abonenta otrzymasz w słuchawce krótkie sygnały zajętości co 0,5 sekundy, wtedy mikrotelefon połóż na widełkach i po odczekaniu pewnej chwili powtórz wybieranie.

Ratunku!

(Nadesłał: M. Szulc)

Rys. Lengren

PROF. FILUTEK

Rób co chcesz OGRODNIK m u s i t e ż

Ogłoszenie z nru 230 „Ilustrowanego Kuriera Polskiego":

OGRODNIK samotny w starszym wieku przystąpi do spółki do małego obiektu (u starszej samotnej osoby).

Obiekcik taki mały,
Dwa ary ma na dwa...

(Nadesłał: A. Leśniewski)

Z zagadnień KOMUNIKACYJNYCH

„Express Wieczorny" w artykule poświęconym pobytowi naszych reprezentacji bokserskich w Helsinkach, pisze:

Drużyna polska ma pewne kłopoty z powrotem do kraju, gdyż we wtorek brakuje miejsc na samolot i d ą c y z Kopenhagi do Warszawy.

Mamy nadzieję, że ten samolot nie zapomniał włożyć kaloszy. Przejście morza o tej porze zawsze grozi katarem.

(Nadesłał: S. Kępa)

MECHANIZACJA

„Głos Wielkopolski" w nrze 287 zamieścił ciekawą informację o nowych usługach miejskich pralni w Poznaniu:

Trzepanie dywanu odbywa się przy pomocy trzepaka mechanicznego i trwa tylko 5 dni.

Czy to co klient odbierze po pięciu dniach można będzie jeszcze nazywać dywanem?

(Nadesłała: S. Mańczak)

WYSOKIEJ FIGURZE

Bacz, gdy ci podają wino,
czy czyste, czy z wazeliną.

J. B. OŻÓG

HUMOR FRANCUSKI

POEZJA I PROZA

Na koniec świata chciałbym z tobą iść,
ale, niestety, mam zebranie dziś...

L. J. KERN

HUMOR WŁOSKI

KUPIŁ BYM CI...

Kupił bym ci korale,
gdyby nie twe morale.

L. J. KERN

AKTUALNOŚCI Z MYSZKĄ

1905 24 Grudzień — Przed pięćdziesięciu laty prasa d o n o s i:

Święta upływają nam pod wrażeniem wypadków rewolucyjnych w Moskwie. W dniu 19 grudnia zbuntowały się tam pułki taurydzki, nieświeski, rostowski i wraz z cywilną ludnością przeszły pochodem przez miasto.

Również w Kijowie zbuntowali się robotnicy i żołnierze.

::::::

I kraj nasz otrzymał na gwiazdkę niespodziewany podarunek: Znowu przywrócono 10 guberniom Kraju Nadwiślańskiego stan wojenny. Piąty to raz w tym roku powraca do nas ta zmora.

::::::

W sali warszawskiej Filharmonii na Jasnej odbył się zorganizowany przez Związek Nauczycielstwa Polskiego wiec.

Przemawiali między innymi pp. Sujkowski, Stefania Sempołowska, Iza Moszczeńska, delegat z Łodzi nauczyciel Kreczmar. Mówcy domagali się uspołecznienia szkoły.

::::::

Dziś z powodu strajku pocztowców na furgonach poczthalterii wyjechali na miasto żołnierze wołyńskiego pułku gwardii.

::::::

Grupa Rosjan, studentów politechniki warszawskiej, wydała odezwę do Polaków. W odezwie tej czytamy:

„Żywimy uczucie najwyższej sympatii dla ruchu wolnościowo-narodowego w Królestwie Polskiem. Popieramy żądania autonomii Królestwa".

::::::

Teatr Rozmaitości nareszcie zabrał się do repertuaru i Józef Śliwicki przygotowuje dwie premiery godne uwagi. Będzie to sztuka Kornela Ujejskiego „Pierwiosnki" z paniami Trapszo Ireną i Teklą, Siennicką, Wojciechem Siemaszko i innymi oraz pierwszy raz u nas od premiery w roku 1791 „Powrót posła" J. U. Niemcewicza z Bolesławem Leszczyńskim, Mieczysławem Frenklem, Luedową, Rolandową, Pichorówną i Owerłłą w rolach głównych.

HUMOR WŁOSKI

1930 24 Grudzień — Przed dwudziestu pięciu laty prasa donosi:

Przedświąteczne wyprawy złodziejskie do mieszkań warszawskich stały się u nas już tradycją. Policja usilnie je likwiduje, ale nie ma dnia niemal bez włamania. Złodzieje potrzebują pieniędzy na święta.

::::::

Na nielegalnym zebraniu studentów komunistów w Wilnie aresztowano 135 młodych wywrotowców. W lokalu znaleziono archiwum MOPRu.

::::::

Marszałek Piłsudski wyjechał na odpoczynek na Maderę.

::::::

W świetlicy Domu Żołnierza 40 weteranów powstania 1863 roku zebrało się na uroczystości gwiazdkowej.

::::::

W sferach „pań z towarzystwa" wielkie poruszenie wywołał pobyt w Warszawie Pitigrillego, głośnego autora seksualnych powieści włoskich. Tłumy pań zapełniły salę Filharmonii, w której autor „Luksusowych zwierzątek" wygłosił odczyt pt. „Miłość współczesnej kobiety".

::::::

W Łodzi odsłonięto pomnik Tadeusza Kościuszki dłuta rzeźbiarza Mieczysława Lubelskiego.

::::::

Z Madrytu donoszą:

Dwudniowy antymonarchistyczny bunt wojskowy w północnej Hiszpanii zakończył się tragicznie. Z niewielkiej armii powstańczej, liczącej 700 ludzi, ujęto 500, przywódców rozstrzelano, wielu żołnierzy skazano na dożywotnie więzienie.

::::::

Polska ogarnięta jest burzami śnieżnymi. Wiele linii kolejowych zatarasował śnieg. Wszystkie niemal pociągi przychodzą ze znacznym opóźnieniem.

(kar. beyl.)

NIE KAŻDY KOCIAK...

Nie każdy kociak — rzekł pewien Mazur —
musi od razu mieć ten lwi pazur...

L. J. KERN

DROBIAZG

Ogłoszenie z nru 266 „Życia Warszawy":

Organista potrzebny do parafii Nowe Miasto n/Pilicą. Wymagane: dobra gra, znajomość chóru, własny instrument.

Czy wystarczą organki, czy muszą być duże organy?

(Nadesłał: W. Batorski)

MYŚLI NIERAJSKIE WCALE

Ewo, o raju myślę nieraz,
Drogo za jabłko płaciłaś —
Jak teraz.

J. SZTAUDYNGER

Na PLEBANII

„Łódzki Express Ilustrowany" zamieścił w nrze 288 następujące ogłoszenie:

PRACOWNICA na plebanię wiejską umiejąca pisać lub szyć na maszynie potrzebna.

Albo jedno, albo drugie — wieczory są takie długie...

(Nadesłał: J. Hochman)

SPECJALIŚCI

W nrze 97 „Sportu" czytamy:

Tylko narciarzy obejmie ekspedycja olimpijska Islandii. Obsadzą oni wszystkie konkurencje alpejskie, a z klasycznych — biegi na 15 i 30 km.

Nie tylko w Islandii, u nas też biegi na 15-go i 30-go bm. należą do konkurencji klasycznych.

(Nadesłał: A. Ślepak)